

PO- MYŚL- NOŚCI!

W małych miasteczkach, gdzie dzwony biją głośnie, w dużych miastach, gdzie je mniej słychać, w rozsypanych po całym kraju wsiach, zasypiają właśnie dzieci. Jest już prawie noc. Wspominam swoje dzieciństwo, pora po temu sposobna. Zdało mi się, że wymyłem ręce poplamione atramentem, usunąłem brud z paznokci, wyczyściłem starannie zęby, stoję w oknie i wyglądam pierwszej gwiazdy na niebie. Chciałbym zwolnić tempo tego dnia, niechże minuty trwają godziny! W sąsiednim pokoju matka zapala już świece na choince, nie wolno tam wchodzić. Ktoś dobry sprawi, że jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, znajdą się pod kolorowym drzewkiem niespodzianki, przepasane różową wstążką. Może to będzie ulubiona książka, może lizwy, albo prawdziwy kij do gry w hokeja? Byłoby tylko pozłacanej różgi nie dostać! Wiem, że zastąpię na nią, ściągającem całe zadanie klasowe z małym, bądźmy szczerzy, dwa razy ściąganiem, a właściwie, to trzy razy, byłem w kinie na niedozwolonym filmie, zważając się też kilka razy, ale to mniejszy grzech, ostatecznie nie ja umieściłem rodzinne miasto w uroczym okolicy. Okolica prowokuje, charakter ucznia jeszcze nie wyrobiony, słaby, kruchy. Ciągnąłem Krystynę za warkocz, ale to może nie jest grzech, było nam wtedy bardzo przyjemnie. Gonilem psy i koty na naszej ulicy, to straszne, przecież właśnie dziś zwierzęta przemówią!

Noc dojrzeła, trzeba wrócić do swojego wieku, tamte wiary, tamte rachunki sumienia, pozostały przy dzieciach. Nie pozabawiajmy ich legendy o dobrym dniu, w którym ludzie otwierają serca i życzą sobie pomysłowości. Dla naszych miłośników jest to jeszcze jedna bajka. W sposób magiczny przemieniają burzę, jakby ktoś niezwykły znalazł owego złotego kucyka, który otwiera bramę szczęśliwego dnia.

Ale my, starsi już i ciężko doświadczeni wiemy, z jakim trudem przychodzi spokojne godziny. Konczymy skomplikowany rok, jeszcze miesiąc temu, może dwa, czuli się nad światem szybko jak błyskawica, samoloty, rakiety, czuli się okręty i łodzie podwodne. Tylko dzieci miały wtedy sen spokojny, one nie wiedziały. Ta różnica świadomości sprawia, że z nie mniej szą niż dzieci radością spożywać będziemy owoce roku, który mija, ponieważ rozumiemy, co zostało ocalone.

Pokój jest z pewnością najslodszy owocem roku, przecież jednak wypadło nam spożywać i gorzkie. Rolnik nie nazwie ostatnich dwunastu miesięcy rokiem urodzaju, ekonomista nie zaliczy ich do wyjątkowo pomyślnych. A przecież u schyłku roku, tak się dzieje od wieków, życzymy sobie pomyślności. Życzenia wzruszają — świadczą o ludzkiej pamięci, miłości, przywiązaniu, ale życzenia nie spełniają się same, to my je spełniamy.

Jeżeli życzymy serdecznie mu koledze z ławy szkolnej, aby mu się dobrze wiodło, na nie nasze dobre słowa, jeżeli jego rodzice żyją jak przysłowiowy pies z kotem, jeżeli ze starej, zatęchłej szkoły nie przeniesie się do nowej, tak właśnie stało się w Łodzi, wleczemy się na szarym końcu w dziedzinie budownictwa szkół.

Powiadamy przyjaciółowi — wesel się w dni świąteczne, wypij dobrego wina, patrz w telewizję, a odpoczniesz. Nie

ma dobrego wina, nie ma dobrego programu, życzenia wiążą w próżnię. Życzysz nowoczesnego mieszkania — trzeba je zbudować, życzysz wyjazdu za granicę — to znowu kwestia dewiz, które nie spadają z nieba, życzysz podwyżki — na nią również wspólnym wysiłkiem pracujemy. Seiskasz znajomego pisarza, mówisz mu — oby ci się sy-

pały jak z worka nowe książki i wznowienia. Nie posypia się tak łatwo, to znowu kwestia eksportu, ogólnej sprawności naszej gospodarki. Żyjemy więc w realnym świecie, nie możemy liczyć na uczynność aniołków, one zdecydowały się już dawno — nie będą odwadniać zup w naszych restauracjach, nie będą zamykać ulic za do-

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI
Rok V.
Nr 51/52 (251/252)
ŁÓDŹ,
23. XII. - 31. XII. 62 r.
Cena
2 zł



CHRISTMAS
Greetings



Najlepsze
życzenia
Świąteczne i Noworoczne
swoim Czytelnikom
i Przyjaciółom
składają
Odgłosy



dal giorno di Natale...



Frohes und
glückliches
Neues Jahr...



BONNE
ANNÉE



i wczasowiczom odpowiednia pogodę, za okulistów pracowała Olybia, dermatologów zastępował Roch.

Dziś jednak sami nadajemy kształty naszym życzeniom, od nas tylko zależy, jak dalece będą się spełniały. Skoro zaś tak jest, nie składajmy sobie życzeń ponad stan, krojmy je na miarę ich realności.

Kończy się rok, święta, Sylwester. Cóż mogłoby życzyć sobie i przede wszystkim innym skromny redaktor? Myślałem w pierwszym rzędzie o naszych Czytelnikach.

Dokończenie
na str. 2

„WAMPIRY“

Najnowsza fala polskich filmów wzbudziła zamęt i przerażenie w umysłach biednych widzów. Błady strach padł na wszystkich: publiczność i krytykę. Z mrocznych kątów naszych wytwórni wypłynęły po nure widma, upiory nudy, schematyzmu, bezsensu, manieryzmu i snobizmu. Na ekranie snuły się smętne wampiry, wysysające nie tylko krew, ale wszelką sympatię i zainteresowanie dla polskiego filmu, z żył nie-szczęśliwych widzów. Szczególnie zmartwił tę sytuacją postanowiliśmy, przynaj-

najbardziej ulubionych rodzajów filmowych. Rzesze jego miłośników liczą się na miliony. O sukcesach niektórych dzieł tego typu świadczą chociażby ciągnące się w nieskończoność ich kontynuacje. Wystarczy wymienić chociażby „Draculę” Todę Brownina (1931), „Córke Draculi” L. Millyera (1936), „Dona Draculi” E. C. Kentona (1945) i wreszcie świeżej daty „Koszmar Draculi” i „Kochanki Draculi” znanego specja od niesamowitych filmów. Terence Fischera, itd. Jeszcze dłuższy ciąg powstałby niewąt-

czności do stanu obłądnego przerażenia, kręci pierwszą wersję „Frankensteina” opartą na powieści żony wielkiego poety angielskiego Mary Shelley. Później była „Narzeczona Frankensteina”, potem „Syn Frankensteina” Rovianda V. Lee (1939) wreszcie „Ucieczka Frankensteina” i „Zemsta Frankensteina” wspomnianego już Terence Fischera.

W roku 1958 niezapomniany Borys Karlopp wystąpił w „Frankensteinie 1970” i można by tak doprawdy bez końca. Warto tylko dodać, że zrobiono nawet kiedyś film parodiujący serię frankensteinowską, z udziałem Lon Chaneya, Juniora i świetnej pary amerykańskich komików Bud Abbotta i Lou Costello.

Filmy grozy miały i mają swoich specjalnych aktorów, aczkolwiek próbowali w nich swe siły najznakomitsi artyści ekranu m. in. Charles Laughton („Stary, ciemny dom” i „Wyspa doktora Moreau”), Claude Rains („Niewidzialny człowiek”), „Upiór w operze” — druga wersja, itd), John Barrymore, Fredric March, Spencer Tracy — kolejni wykonawcy roli tytułowej w trzech wersjach „Doktora Jekylla i Mister Hyde” i inni. Z aktorów, którzy swą sławę i miejsce w historii filmu zawdzięczają właśnie filmom grozy, warto wymienić Belę Lugosi, odrwórcę straszliwej postaci wampira barona Draculi i jego następcę w tej roli, Christophera Lee. Lugosi występował również w serii frankensteinowskiej i w całym szeregu innych niesamowitych filmów. Przejął się on do tego stopnia swymi rolami, że zaczął wierzyć iż rzeczywiście jest wampirem. Ostatnie lata swego życia spędził wśród książek o upiorach i wampirach, otoczony fotosami ze swoich filmów. Listy podpisywał imieniem Draculi.

Za mistrza grozy uchodził Borys Karlopp — aktor o niesamowitej twarzy i łagodnym, sentymentalnym usposobieniu, poeta i miłośnik róż. Karlopp grał w wielu Frankensteinach i on jeden oparł się jakiemś dziwnemu przekleństwu, jakie ciąży na ludziach związanych zwłaszcza z pierwszym filmem serii. Lugosi zwirował, reżyser James Whale został zamordowany, znalezione go w basenie niczym



Dziewczyna-wampir w filmie „Noc wilkołaka”

mniej na światła, rozproszyć tę ponurą i pełną grozy atmosferę, przenosząc Was, drodzy czytelnicy, w znacznie pogodniejszy i radośniejszy klimat autentycznego „kina grozy”.

Film grozy jak wykazują statystyki, jest jednym z

plwie przy wylczeniu wszy stkich filmów poświęconych przerażającej postaci człowieka-roboty stworzonej przez doktora Frankenstein.

W roku 1931 James Whale, również znakomity specjalista od doprowadzania publi-

Williamsa Holelens w „Bulwarze Zachodzącego Słońca”. Scenarzysta pierwszego Frankensteina Garrett Fort popełnił samobójstwo. Dubler Karloppa okazał się mordercą kobiet. W jego ogrodzie znaleziono zakopane 4 trupy. Jak widać kulisy strasznych filmów są również straszne. Nie sposób oczywiście zapomnieć Lon Chaneya, pierwszego „Upiora w operze” (1925 r.) Conrada Veidta, Peter Cushinga i

wielu innych wampirów, upiorów, potworów i wilkołaków. Tym zaś, którzy zawią niejakie wątpliwości co do artystycznych walorów filmów grozy, warto przypomnieć, iż „Wampir Nosferatu” Murnaua uchodzi za klasyczną pozycję niemego filmu, a „Gabinet doktora Caligari” zaliczony został do 12 najlepszych filmów świata. Nie jest więc znów tak źle. Nazwiska reżyserów mówią zresztą za siebie. Murnau, Fritz Lang, Robert Florey, Epstein, Cocteau, Dreyer.

Filmy grozy bywają najróżniejsze. Przewijają się przez nie postacie szaleńców, psychopatów, wampirów, duchów, potworów, pół ludzi, półzwierząt, strzyg i wilkołaków. Nie brak też tam robotów, golemów, ludzi niewidzialnych, mieszkających w przedpotopowych i przybyszów z innych planet. Oscylują one między krwawą baśnią a pseudonaukową fantazją. Wykorzystują całe bogactwo środków technicznych i możliwości jakimi dysponuje film. Ludzie mdleją ze strachu, ale wala na te filmy drzwiami i oknami. Dlaczego? Odpowiedź na to pytanie nie należy do najłatwiejszych. Niektórzy doceniają się w nich prawdziwej poezji i prawdziwego piękna tak jak w obrazach Goya. Nie jest to piękno banalne, landrynkowe, lecz piękno wyższego rzędu, o wiele bardziej wyrafinowane, ukryte pod pozorami brzydoty i okropności. Jest to poezja niezwykłości, rzeczy niecodziennych i niesamowitych, prze-

dziwnych scenarii i jeszcze dziwniejszych postaci.

Dla innych znów filmy grozy, krwią i sadyzmu pozwalają w sposób nieszkodliwy rozładować różne niezbyt szlachetne instynkty właściwe ludzkiej naturze. Mistrz nad mistrze w tej dziedzinie, sam wielki i jedyny Hitchcock powiedział na ten temat m. in. „Niektórzy mężczyźni traktują strach w taki sam sposób jak piękne kobiety. Szukają ich, ale boją się, by nie stały się one stałym elementem ich życia”.



Lon Chaney — pierwsze filmowe wcielenie „Upiora w operze”



Sceny z dreszczykiem z filmów „Lycantropus” i „Trzyście upiorów”

odgłosu

str.
3

W województwie łódzkim, które przecież nie zalicza się do okręgów rolniczych — mieszka na wsi ponad sto tysięcy młodzieży.

Wyodrębnienie młodzieży nie jest kwestią przypadku, ani też nie oznacza szczególnej jej uprzywilejowania. Jest po prostu dokładnym określeniem pewnej siły społecznej, która w procesie aktywizacji wsi powinna spełnić zasadniczą rolę.

W małych środowiskach środek ciężkości przesuwa się właśnie na młodzież. To ona może stać się zapalającą siłą: destrukcyjną i mobilizującą. Destrukcyjną przeciwko staremu, przeżytemu wzorom, mobilizującą w stosunku do nowych wartości.

Stąd właśnie wielka stawka na młodzież. Stąd również znaczenie, funkcja i odpowiedzialność Związku Młodzieży Wiejskiej.

TRAKTOR NIE ZASTĄPI ELEMENTARZA

Ogólne nakłady inwestycyjne na rolnictwo w obecnej pięcioletce wynoszą 90 miliardów. Ich cel to przyspieszenie procesu unowocześnienia produkcji rolnej, mechanizacji wsi. Do końca 65 roku pracować będzie na wsiach 135 tysięcy traktorów, 80 proc. wsi zostanie zelektryfikowana.

Ale postęp techniczny, nawet najbardziej zaawansowany; nie rozwiąże sam ogólnego problemu aktywizacji życia wiejskiego, nada mu nieodzowny, lecz tylko zewnętrzny polor, zakłada jedynie ogólne ramy dalszych przemian. Chłop, chociaż orze swoją ziemię traktorem, wypożyczonym z Kółka Rolniczego, wciąż jeszcze sypuwa trzy razy przez lewe ramię dla odpędzenia uroków gwoli zwyczajom — a co gorsza — swoim wierzeniom.

„Społeczeństwo wiejskie jest charczone wieloma przesadami i zabobonami, które utrudniają chłopom poznanie zjawisk otaczającego nas świata i hamują postęp w ich dziedzinach jego życia. Stąd ogromne znaczenie wsi podawanej w szkole oraz upowszechnianie przez różne instytucje oświatowo — wychowawcze i organizacje polityczne i społeczne, wiedzy mającej doprowadzić ludność wsi do podstawowych elementów racjonalnego poglądu na świat”. (Józef Kuczyński: „Postawy światopoglądowe chłopów”).

I jeszcze jeden cytat: „W okresie obecnej pięcioletki, mimo znacznej rozbudowy szkół i kursów dla dorosłych oraz szkół podstawowych, nie będziemy w stanie objąć nauczaniem szkolnym ponad 600 tysięcy młodzieży w wieku 14—17 lat. Trzeba podkreślić, że te lata są z reguły najtrudniejsze w rozwoju życia umysłowego i psychicznego człowieka i młodzież w tym okresie powinna być otoczona szczególnie troskliwą opieką wychowawczo-oświatową” (Z V Plenum Naczelnego Komitetu Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego).

A wcale nieodrodnym zjawiskiem jest występowanie właśnie na wsiach powtórnego analfabetyzmu, głównie wśród starszych, i nie tak rzadko wśród młodzieży. Motocykl, tak modny dziś na wsi, telewizor, czy pralka mogą zaspokoić powierzchowne niejako techniczne potrzeby wsi, ale nie nauką młodego człowieka ani myślenie, ani tym bardziej: rozumieć. Postępu technicznego, coraz szerzej wprowadzanego na wies, nie wolno w żadnym wypadku utożsamiać z aktywizacją wszystkich dziedzin życia społecznego; wielokrotnie powtarzane sądy, że postęp techniczny na wsi „stwarza nowe potrzeby, nowe zaintereso-

wania — kształtuje nowy model człowieka” — są upraszczaniem sytuacji, wypaczeniem pojęcia humanizmu socjalistycznego.

Znany pedagog i historyk kultury, prof. Suchodolski mówi: „Wychowanie moralne, które zaniedbuje ukazanie perspektyw idealnych, dezorganizuje osobowość, w jej aktualnym życiu odbiera zdolność stawiania celów i wartościowania. Ale wychowanie, które nie uczy różnic w współczesności tego, co dobre, od tego, co złe przyczynia się do sceptycyzmu i cynizmu, do podkopywania wiary w ideały i sensowność ludzkiego działania”.

I tu jak sądzę, leży pies pogrzebany. Jeżeli bowiem brać pod uwagę główne cele, nie ma żadnych wiejskich

skich, które prowadzą działalność muzyczną, teatralną, jak na przykład we wsi Brzeźno (pow. sieradzki). W klubach też organizuje się już bardzo popularne „trzydniówki kulturalne” pod hasłami: „grzeczność na co dzień”, „uczmy się tańczyć”, itp. Na wsiach działa jednakże wiejskich Klubów Inteligencji, przy ZW ZMW Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy, tegoroczna Olimpiada Wiedzy Rolniczej zgromadziła ponad piętnastotysięczną publiczność, lecz bodajże najważniejszą akcją jest:

AKCJA „SZKOŁA”.

Życie wielu wsi to często jeszcze jałowa wegetacja. Są miejscowości, gdzie jedynym centrum życia kultural-

nie jest ich chuliganami u nas nazywa, też czasem przyjdą, i wcale się nie różnią w zachowaniu od tych „porządników”. Bo najważniejsza rzecz — wychowanie. Od tego wszystko zależy”.

Przytoczyłam głos aktywisty z Zawady, gdyż wydał mi się ogromnie charakterystyczny do pracy młodzieży na wsi.

W powiecie skierniewickim dzięki wysiłkom młodych nauczycieli działa w tej chwili aż 46 takich szkolnych ognisk kulturalnych — i wszystkie wypracowane własnymi siłami, przy pomocy minimalnych środków budżetowych.

Zeromsczyzna? Silacze? — Może i tak, ale przecież ktoś musi pierwszy nacisnąć dźwignię, żeby całość ruszyła.

PGR I KULTURA

W woj. łódzkim jest obecnie 81 Państwowych Gospodarstw Rolnych. Wydawać by się mogło (chyba legiczenie?), że w PGR łatwiej organizować tzw. kulturę, i że życie w nich powinno przebiegać nieco inaczej, korzystniej, niż w takich wsiach, w których „nie ma”. No, bo PGR to zwarty kolektyw, większe możliwości ekonomiczne, finansowe.

81 PGR zatrudnia 13.181 pracowników. W tym liczba pracowników w wieku do lat 35 — bez pełnego wykształcenia podstawowego wynosi: 1195 osób (58 proc. ogółu zatrudnionych w tej kategorii wieku) a młodocianych do lat 18 bez pełnego wykształcenia — 18 proc.

Budżet na kształcenie, owszem, jest. PGR ufundowały 46 stypendiów na sumę ponad 150 tys. złotych dla słuchaczy... szkół średnich (23 stypendia) oraz dla słuchaczy... szkół wyższych (23 stypendia). Cokolwiek dziwna polityka oświatowa, zwłaszcza na katastrofalnie wysoką liczbę osób, które nie posiadają — lagodnie mówiąc — ukończonego wykształcenia podstawowego. Zupelnie dziwna polityka, jeżeli aktualnie aż... 18 osób spośród pracowników PGR (13 tysięcy) objętych jest szkolnictwem zawodowym, zaś 1 (jedna!) dokształca się w średniej szkole zawodowej. Dla kogo więc utworzono 46 stypendiów za sto pięćdziesiąt tysięcy złotych?

Na 81 PGR w 32 są świetlice. 12 kierowników świetlic wykazuje się wykształceniem co najwyżej podstawowym, w tym czterech ma skończone 3—4 oddziały. Jak wobec tego wygląda praca kulturalna w tych świetlicach? — Wstrzymam się od odpowiedzi.

ZMW postanowił zorganizować kursy dokształcające w gospodarstwach rolnych. Tu jednak musi otrzymać pomoc od kierownictwa PGR, i.e. rad zakładowych i robotniczych. W końcu za dokształcanie swoich pracowników odpowiedzialna jest całkowicie administracja PGR. Po niewątpliwych sukcesach ekonomicznych czas na ruch kulturalny, prawda?

PRZECIW MAGICZNEMU MYŚLENIU

„Nowoczesna cywilizacja wymaga świadomego i rozumnego udziału najszerszych rzesz społecznych w jej tworzeniu. Dlatego tym większy niepokój budzi prymitywne, magiczne myślenie wielu ludzi. Wyzwolenie z ich fałszywych domniemań, zabobonów, przeświadczeń, mitów i praktyk sprzecznych z naukowymi prawami przyrzeczności i logiki staje się w kręgu spraw wychowawczych ważną koniecznością, uwarunkowaną obiektywnymi prawidłowościami rozwoju świata ludzkiego” (J. Kuczyński, „Postawy światopoglądowe chłopów”).

Ten przydługi i nieco

JAN KOPROWSKI

PISANE W KOŃCU KWIETNIA

Mówią: czas goi rany, studzi namiętności, o wszystkim nakazuje zapomnieć powoli, zdmuchuje, jak wiatr piasek, ślady wielkiej miłości, sprawia, że to co bardzo boleło — nie boli.

Jeżeli to jest prawda, ja nie chcę w nią wierzyć. Czas nie goi, lecz nowe zadaje nam rany, kiedy zorza wieczorna do okien uderzy i na ulicach z bólu pękają kasztany.

Nie wmawiajcie w nas ciagle, że trudno, że trzeba, bo ja się na to nie godzę, bo ja jestem przeciw. Dla kogo nadchodzą wiosny, szumią wysokie drzewa i wieczne słońce miłości po co nad nami świeci?



WIERSZ O ZMĘCZENIU

Ta podróż trwa zbyt długo, wysiadzmy na jakiejś stacji. Lasy sosnowe nas wehlną i zboża pachnące czerwem.

Jesteśmy zmęczeni życiem. Ja wiem: to brzmi banalnie. Lecz cóż — banalne jest życie i równie banalne zmęczenie.

Tłoczmy się w korytarzu, przestępując z nogi na nogę. Patrzmy na lewo, na prawo i nigdzie miejsc wolnych nie ma.

Przez okna otwarte wpada wiatr, farmoszący zastony. Lecz nie jest to wiatr historii, co nas ze sobą porwya.

Historia jest dla innych a dla nas tylko zmęczenie: dzień bez początku i końca, noc mroczna i nieprzepasana.

Więc wyjdźmy z tego pociągu. Zawładawco, nie każ mu jechać. Niechaj postoi na stacji a ludzie niech spoczną na trawie.

Wiosna jest taka krótka, słońce na zachód umyka. A my wyglądamy z okien zmęczeni życiem i sobą.

O JESIENI

Znowu nadeszła jesień, lecz nikt już o niej nie pisze. O wiosnie i jesieni wstydy się pisać poeci.

Czterdziesta czwarta jesień nastąpiła nagle, znielaska. Zaskoczyła mnie w czasie spaceru liściem, co upadł pod stopy.

Szkoda, że nie potrafię zrymować z jesienią uniesień. Rymy już wyszły z mody i jesień jest staroświecka.

A przecież żal tych wierszy, tak wiele ich napisano o mgłach i liściach, o deszczu, o wrześniu i listopadzie.

Były jesienie złote, słodkie, melancholijne. Jesienie polskie i obce, jesienie bohaterskie.

A teraz nie ma żadnych, jesieni i wierszy nie ma. Bo cóż, że liście są złote, skoro nikt o nich nie pisze?

1962

Wiersze z przygotowanego do druku tomu pt. „Rozmowa z wiewiórką”.

Dokończenie na str. 8

Teraz przez jakiś czas będzie u Jean P. w willowej dzielnicy Chicago. Skąd będzie mi bliżej do City, do biblioteki, muzeum, do środowiska polonijnego. Teatry wciąż jeszcze nieczynne. tutaj sezon zaczyna się późną jesienią. Na zwiedzanie miasta poświęcam dni, wleczo spędzamy raczej w gronie rodzinnym. Przed telewizorem.

Dziś w Los Angeles odnotowano swoisty rekord: W ciągu jednego dnia zabiło 813 osób. Gdyby zadać sobie trud i obliczyć inne swoje rekordy, okazałoby się, że w starciach policji chicagowskiej z gangsterami, w walkach gangów między sobą, w chuligańskich bójkach — wystrzelono 2873 naboju, wbito 11 noży sprężynowych, podłożono osiem bomb zegarowych, pokrajano żyłkami 7 osób, obalano benzyną i podpalono 8 aut, zakuto w kajdanki 43 morderców, uduszono i utopiono czworo dzieci w 11 kanałach... telewizji amerykańskiej. Bo to, na razie, o telewizji, rzecz jasna, jest mowa. Takie w przybliżeniu bywa dzienne rekordowe znów walk i śmierci w wyświetlanych przez telewizję „westernach”, „kryminałach”, w filmach przygodowych, niegamowitych tzw. „horrorach”, nie wyłączając świetnie zresztą pisanych audycji „The Untouchables”, poświęconych niezwykłemu inspektoriowi Ness i jego nieugiętym przyboczny policjantom.

Dzień w dzień widz amerykański trawi ten kowbojsko-gangsterski przekładaniec i choć w końcu niewyciężony inspektor Ness wygrywa, szlachetny kowboy-gentleman, w rodzaju Yul Bryniera z „Siedmiu wspaniałych”, kładzie pokotem bandę grabieżców i morderców, to jednak przez wiele godzin — zanim nastanie króciutka na ekranie chwila zwycięstwa sprawiedliwości i dobra — przez wiele godzin chytrzy, podstępni i okrutni przestępcy i awanturnicy demonstrują telewizjom swoją przebiegłą brutalność, malpi spryt, złośliwość w wyprawianiu przeciwnika w pole, sztuczne genialne wykiwania pościgu, władania bronią, swoją kryminalną „nieustraszoną”.

Ośmio i dziesięcioletnie Betsy, Molly i Lolita trudno oderwać od telewizora, one by bawily się, jady, uczyły przed telewizorem; ilość chłopców uprawiających sport spada, odczytują się apele do młodzieży o masowe — jak dawniej — uprawianie sportu, gimnastyki; chłopcy coraz więcej siedzą przy telewizji i tyją; trzech synów sąsiada ma wygląd zatuczonych gesi.

W swoim czasie telewizja amerykańska powtórzyła brytyjski zresztą eksperyment, polegający na działaniu reklamy wyłącznie na podświadomość; reklama zjawiała się na wizji na ułamek sekundy, niepostrzeżenie dla wzroku, ze skutkiem jednak dla postrzegania podświadomego. Telewizjowicze amerykańscy, jak powiada prasa, zaprotestowali przeciw temu bezwiednemu zakłócaniu ich podświadomości. Myśle, dlaczego nie zaprotestują przeciw swym programom telewizyjnym? Przecież naukowca teoria oddziaływania obrazu filmowego (a więc i telewizyjnego) mówi, że niezależnie od fabuły, od myśli przewodniej filmu, w psychikę widza, w jego podświadomość zapada szereg informacji, jakimi są słowa, gesty, sposób noszenia się, zachowania, życia tak dobrych jak i złych bohaterów filmu. — Informacji, które stają się wzorami do naśladowania, normami postępowania, wyzwalającymi się w życiu. Czyżby jakiegoś sposobu chodzenia, postępowania bohaterów westernów, „nieustraszonego” rycerzy preri, „bohaterów” zbrodniczego podziemia, przewodców chuligańskich band młodzieżowych — zapadają w psychikę mło-

dzieży i dzieci, owych przedwcześnie tam dojrzewających trzynastoletnich George'ów i Mary.

Dziennik Chicagowski z października 1961 r. pisze: „10 wyrostków napadło na K. Krawczaka na ul. Division, przed domem nr 1816. Zabili mu tak ciężko obrażenia, że zabrano go do szpitala, gdzie zmarł w czwartek”. Potem znów: „Trzynastoletni Michale Bleth z pnr 5316 N. Neva Ave., który w sali gimnastycznej szkoły Kenzie, 6 listopada starł się z kolegą w czasie l'otni i został przez niego silnie uderzony w skroń, zmarł w czwartek w szpitalu”. Opowiadano mi, że kiedyś kilku wyrostków pobito do nieprzytomności staruszką, w parku Humboldt, ponieważ zwracał im uwagę, aby nie rzucali kamieniami w kaczki pływające na stawie. Jakąś grupą młodzieży, wracającą szkolnym autobusem, tak dokuczała szoferowi, że zmuszony był wezwać policję na pomoc; uczennice ko-

liganienia” sie ich dzieci, jednak — amerykańscy socjologowie, pisarze, krytycy szukając przyczyn wzrostu przestępczości wśród młodzieży — nie oszczędzają w swoich wywodach także telewizji; jeśli niektórzy z nich nie nazywają jej po imieniu źródłem zła, to przynajmniej mówią o zmarowaniu wielkiej szansy psychologiczno-moralnej w wychowaniu społeczeństwa; takiej szansy nie zmarowała wielka literatura amerykańska, Dos Passos, Faulkner, Steinbeck, Caldwell, o ile rzecz jasna — literatura ma jakikolwiek wpływ wychowawczy.

Umysły wynalazców i uczonych daly wielkowi XX cudowny wynalazek — telewizję, której oddziaływanie na masę jest znacznie większe niż wpływ książki, teatru, kina; młodzież, zwłaszcza amerykańska, spędza przed telewizorem nieraz więcej czasu niż w szkole. Program idzie cały dzień — na 11 kanałach, jest na co patrzeć. A co zrobiono z telewizją? John Crosby, krytyk telewizyjny „New York Herald Tribune” daje na to części-



lewizja jest więc agencją reklamową. Po prostu. (Podobnie zresztą radio — choć podawano, że radio dokonało niezwykłego „smiałego kroku” — uruchamiając kilka stacji nadających program wartościowy opłacany przez... abonentów). W każdej audycji telewizyjnej pojawia się mniej więcej co 10 minut reklama, tzw. „commercial”, niezależnie od tego, czy jest to program dla dzieci, młodzieży, czy dorosłych, czy jest to transmisja

Prasa amerykańska, z którą Jack drze koty, nazywa go jednak „wesolikiem” zabawiającym tłumy. To on, Jack Par, stał się kiedyś przyczyną niebywałego zamieszania w opinii publicznej, ba, w Kongresie i polityce. W okresie najwyższego nasilenia kryzysu berlińskiego, Par udał się do Berlina, a ponieważ nikt własnie nie prowokował do starć pod berlińskim murem, nikt nie uciekał z Berlina na wschodni, nikt nie rzu-

ficzny, czy też cudzoziemca gadającego w niezrozumiałym języku; sprawozdawca relacjonuje i uogólnia; patrzcie na tych ludzi, na ich lek, smutek i powagę, w tym kraju nikt się nie śmieje. Zresztą o nas Polakach, niektórzy amerykańscy „znawcy” mówią to samo, a potem... przyjeżdża intelektualista w rodzaju Petera Vierecka, — poeta, eseista, laureat nagrody Pulitzera — i stwierdza, że... Polacy mają... niezwykle zmysł hu-

WANDA KARCZEWSKA

„KUP KSIĄŻKĘ - POMÓŻ ZWALCZAĆ TELEWIZJĘ”

Szkice amerykańskie (IX)

pali i gryzły policjantów, którzy je musieli przemocą wyciągać do wozów policyjnych. Z kilku naszych aktorów, żyjących obecnie w Chicago, dwie były napadnięte dwukrotnie; na jedną z nich, E. D. znaną wielu z nas, napadali dokonali w biały dzień trójka uczniów szkoły średniej. W wyniku napadów a'orka została przewożona, skopana, wybito jej zęby i zrabowano torebkę z pieniędzmi. Kilka aut, które właśnie nadjeżdżały z różnych stron, zatrzymało się z daleka, lub zniknęło w przecznicach, przechodnie umknęli. Tak się tam zazwyczaj dzieje. Gdzie się podziało „siedmiu wspaniałych”, obrońców napadniętych, kobiet i słabych? Z tych trzech, którzy pozostali z owych siedmiu, z Yul Brynerem na czele, nie ma ani jednego; zresztą ta amerykańska baśń — bo westerny to są właśnie sentymentalno-brutalne bajki amerykańskie — jest nieautentyczna. Właściwie japońska (Baśń o siedmiu samurajach).

Prezydent wygłasza orędzie o wzrastającej przestępczości wśród młodzieży, amerykańskie kobiety” zapytują mnie, czy chuligaństwo młodzieży i jej brak szacunku dla starszych są tak samo duże w krajach Europy jak u nich; pytają jak to się dzieje, że fakty te jednakowo nabrzmiewają w krajach o trudnej sytuacji gospodarczej i u nich, rzadziej jest najwyższa stopa życiowa. Jeśli ktoś powiada, że swoje niewątpliwie „zasługi” ma na tym polu także i telewizja — obrońcy telewizji amerykańskiej mówią: „Przedtem nie było telewizji...”. Oczywiście, zapiski klinowe na ceglach z wykopalisk sumaryjskich też mówią o trosce matek i synów wobec ówczesnego „chu-

wą odpowiedź: „Telewizja nie jest potworna. Jest gorzej niż potworna. Jest śmiertelnie nudna. Przed trzynastu laty, gdy skończyło się stadium doświadczalne telewizji, zapowiadano jej wielką przyszłość. Opracowywano nowe metody, wprowadzając takie programy eksperymentalne jak „Omnibus”, wychowawcze jak „The Search” (Badanie), i „Adventure” (Przygoda) oraz tego rodzaju jak „Więldki, wspaniały świat”. Obecnie serijne programy telewizyjne masowo produkują znużeni urzędnicy, widowska filmowe robią wrażenie nadających się do oglądania jedynie dla zabicia czasu. Wielkość... widowsk należy pomijać milczeniem”. Cóż się więc stało z telewizją amerykańską?

Telewizje amerykańską za-... komercjalizację. Telewizja jest tam przedsiębiorstwem prywatnym obliczonym na dochód. Towarem tej instytucji jest czas. Instytucja sprzedaje czas firmom, fabrykom, które kupują go dla reklamowania produktów lub sprzedawanych przez siebie towarów. Najdroższy odcinek czasu to ten, w którym program ogląda największą ilość widzów (ogółem jest tam 56.000.000 aparatów telew.). Telewizja prowadzi dokładne statystyki i jest w nieustannym, żywym kontakcie z odbiorcami programu. Ten kontakt miał wykazać, że najwięcej ludzi ogląda właśnie westerny, kryminały, audycje sensacyjno-przygodowe, widowiska humorystyczne, rozrywkowe, melodramaty miłosne, stad wniosek telewizji, że należy ten typ audycji dawać jak najczęściej, ponieważ z kolei każdy fabrykant, businnesman chce dotrzeć ze swoją reklamą do jak największej ilości widzów, swych potencjalnych klientów. Te-

z meczu w baseball, czy „kryminał”, czy dyskusja prasowa, czy recytacja poezji (nie-dziela po południu) lub program nocny, kiedy wszyscy „zjadacie chleba” już dobrza chrapia, a „intelektualiści” na pół zasypiają, doczekują się swego Szekspira czy O'Neila. Bo głupstwem byłoby twierdzić, że nie wydubie się z tego telewizyjnego zakaleca nic wartościowego, m. in. wprowadzono audycje p. n. „CONTINENTAL CLASSROOM”, nadającą wykłady z fizyki na poziomie college, której słucha 400.000 osób. Oprócz nocnych audycji, poświęconych niekiedy wielkiej dramaturgii, do milana programu wartościowego pretendują półgodzinne widowiska w ramach audycji „TWILIGHT ZONE”, są to jednak przy zachowaniu pewnych tylko pozorów głębokości filmy niesamowite, z dreszczykiem tajemnicy i przymieszką irracjonalności.

Szeroko rozbudowany dział informacji, oprócz ciekawych dyskusji prasowych „MEET THE PRESS” z udziałem najwybitniejszych publicystów przynosi także interesujące, najczęściej o posmaku pewnej sensacyjności, reportaże krawlowe, jak np. transmisja z Florydy podczas szalejącego tam huraganu, transmisja przebiegu katastrofy lotniczej z lotniska w Chicago (upolowali) czy w ramach audycji „PERSON TO PERSON” transkontynentalny wywiad — reportaż z paryskim królem fryzjerów, z Antoine'em, który odsonił telewizjom tajemnicę swego kunsztu i zakładu, pokazując swoje sanktuarium — gabinet z naszym kryształowym lożem pod olbrzymim krzewem mimosy — gdzie mistrz obmyśla swoje poematy-fryzury. Mistrz zresztą bardzo ładnie, z dużym poczuciem godności zakomunikował, że jest z pochodzenia Polakiem, z urodzenia — sieradzaninem. Było to malutkim zaskoczeniem dla niektórych Amerykanów polskiego pochodzenia, którzy nie zawsze lubią się afiszować rodem z tego „małego, biednego kraju”.

Z audycji rozrywkowych pomysłowe wydają mi się „CANDID CAMERA” — podpatrywanie reakcji osób na specjalnie zaaranżowane scenki na ulicy, w tramwaju, w lokalach.

Jedną z najbardziej popularnych audycji jest jednak „JACK PAR SHOW”. Jack Par gromadzi przy swoim stoliku na bezpretensjonalnych pogawędkach najbardziej inteligentnych ludzi amerykańskiego świata artystycznego, politycznego, społecznego,

cał bomb izawiających, a Jack bardzo chciał pokazać swoim widzom interesujący reportaż telewizyjny, namówił więc żołnierzy amerykańskich do „granicznej druki”, do małej akcji, pozorującej ostre starcie Wschodu i Zachodu, co — jak twierdził potem posłowie w interpelacji złożonej z tej przyczyny w Kongresie, a co podchwyciła prasa, — mogło wywołać rzeczywisty zbrojny konflikt i spowodować wybuch wojny światowej. Biedny Jack bardzo długo, a w końcu nudnie i smętnie tłumaczył się telewizjom, w końcu rozpetał całą wojnę polemiczną z prasą, oskarżającą go po pierwsze: o lekkomyślność polityczną, po drugie — o fałszowanie rzeczywistości przez ukazywanie nieprawdziwych, sfingowanych specjalnie scenek. Jack odgryzł się: pokazał na wizji wydrukowany w jednej z gazet artykuł i odczytał go na głos. Był to artykuł specjalnego reportera — wysłannika, w którym autor opisywał przebieg wizyty b. sekretarza ONZ Hammarskjolda u Czombego, podczas gdy Hammarskjold w ogóle na miejscu przeznaczenia nie doleciał, z Czombem nie rozmawiał, zabijając się po drodze w katastrofie lotniczej. To był cios nie do odparowania. Pewien widz doznał w tym momencie wstrząsu; rzucił z niesmakiem gazetę mówiąc: człowiek czyta i wierzy, a potem... Przecież wszystko może być w ten sposób spreparowane!”.

Par w tej nierównej walce z potężną prasą zdawał się przegrywać; mówiono — nie utrzyma się ze swoją audycją w telewizji, ale Par zdobył nie lada atut, pojechał na reportaż do Moskwy. I pokazał go potem. Zainteresowanie obywateli Stanów Związkiem, w którym kiedyś było sporo naiwnego lekceważenia — zaczęło w USA szybko wzrastać; zmieniać swoje zabarwienie emocjonalne od dwóch wydarzeń: od wysłania przez ZSRR pierwszego sputnika i od czasu rewolucji na Kubie. Telewizja amerykańska ma bardzo sprytnego reportera-sprawozdawcę w Moskwie. Często chwytam sprawozdawców, powtórzonym zresztą także przez Jacka Parę, jest pokazywanie jakichś przygodnych przechodniów, nieraz dzieci, nieraz jakiegoś biednie ubranego rodziny przybyłej do Moskwy z Kirgizji, z Uzbekistanu, której proponuje się zdjęcie, niby ustawia się ich do niego, a przez ten cały czas pokazuje się niepewność tych prostych ludzi, widzających może istotnie pierwszy raz aparat fotogra-

moru; rzecz chyba w tym że mniej jest u nas hulaśliwego rubasznego śmiechu i weselości, jaką odznaczają się Amerykanie, więcej zaś humoru tzw. z cicha pęk, ujawniającego się w słowach, lub w ustosunkowaniu do sytuacji, jak np. znany wszystkim humor okupacyjny.

Wracając jednak do telewizji — ten to właśnie korespondent moskiewskiej telewizji amerykańskiej pokazywał kiedyś nowe dziełce Moskwy, wnętrza nowych mieszkań, ich urządzenia, lodówki typu „SARATOW”, więc o połowę mniejsze od lodówek amerykańskich (O, szczyt zainteresowań!); biorąc w rękę koszyczek z kartoflami, stojący na jednej z lodówek, poinformował, że jednak moskiewczanie mieszkają w trzy rodziny w jednym mieszkaniu, a ich podstawowym pożywieniem są kartofle. Najciekawszą w tym wszystkim była reakcja pewnej Amerykanki, która po następnej audycji, mówiącej o wystrzeleniu któregoś z kolej radzieckiego sputnika, doszła do konkluzji: „No tak, myśmy budowali domki jednorodzinne, auta, telewizory, lodówki, nasz rząd dbał o dobrobyt przeciętnego Amerykanina, a oni... jedli kartofle i pierwszy wystrzelił astronautę; i jeszcze gotowi pierwszy zapchać się na Księżyc...”.

Swoistą ciekawostką są dwie stałe telewizyjne cotygodniowe audycje polskie: „PARTY POLKA” i „POLKA GO ROUND”. Pierwsza to transmisja z lokalu, gdzie stara emigracja wywija przy muzyce polki, oberiasy i kujawiaki, druga — to występy „ludowej” kapeli: czterech przebranych na ludowo muzykantów, żażywnych, w błyszczących jedwabnych koszulach, w serdakach srebrnym wyszywanym gra na harmonii, trąbce, skrzypcach i na basie i podśpiewuje piosenki o Jasiu, Kasi, Marysi i wolkach. Niekiedy zaczyna się potem ogólna potańcówka; kiedyś wystąpił, owszem, niezły balet Sadowskich; czasem gdy nie starczy materiału na tę

Dalszy ciąg na str. 6



Dokończenie
ze str. 5

WANDA KARCZEWSKA

PRZECHODNIA

II. SŁOŃ, A SPRAWA POLSKA

Pomimo zafascynowania dramaturgią Zachodu, teatry warszawskie działają dziś, w Polsce, w roku 62. Jeżeli nawet zapominają o tym kierownicy literacy — jest rzeczą niemożliwą, aby zapomnieli reżyser, inscenizator, aktor... I oto mamy dziwne zjawisko — wystawiona „po polsku” frischowska „Andorra” i brechtowska „Mutter Courage”. To bowiem, co o „Andorze” pisało — pozostało w sferze komentarza literackiego.

Dla Frischa „sprawa żydowska” jest tylko pretekstem. Frisch usiłuje odpowiedzieć na podstawowe, jego zdaniem pytanie naszego wieku: Czy jesteśmy antysemityczni? Kim jesteśmy? Czy mamy prawo do własnej indywidualności? Jego bohater nie wyraża zgody na samego siebie, nie może żyć w otaczającym go świecie.

Tymczasem spektakl brzmi w Polsce zupełnie inaczej. Nie jest to sprawa antysemityzmu jednostki i możliwości zachowania własnej indywidualności — lecz konkretna, brutalna sprawa rasizmu, antysemityzmu, sprawa Żyda — a nie „człowieka” w ogóle. Podobnie „po polsku” odczytano „Mutter Courage” — ze świetną kreacją Elchlerówny. To też „polska” Courage, Courage, której podstawowym życiowym zadaniem jest „przeżyć” — nawiązać wojenną, przystosować się do każdej sytuacji, ocalać w sensie jak najbardziej fizycznym. Jest to Courage widziana poprzez pryzmat wielu wojen i własnych, bezpośrednich doświadczeń Polaków.

I powiedzmy szczerze — chociaż obydwa spektakle budzą wiele zastrzeżeń, chociaż na pewno spływają problematykę filozoficzną, sztuk, chociaż jest w nich coś ze sprawy „Słoń, a sprawa polska” — ale może i bliżej są nam niż perypetie Temple Draka i Govana Stevensa?...

III. WSPÓŁCZESNOŚĆ — TYM RAZEM WLASNA

I tak, ogródkiem, via słoń, doszliśmy do Polski. Cóż prezentuje nam Warszawa z dramaturgi współczesnej, która — umówmy się — istnieje i jest wcale żywa?

Prezentuje niewiele. Bardzo, zaskakująco niewiele, choć posiada dzielny teatr „Ateneum” urządzający konkursy i kilkanaście innych teatrów, w których każdy dramaturg rad by widzieć swoje sztuki. Ale cóż — wywołał nie tak dawno pewien światły krytyk, że — w odróżnieniu na przykład od Ameryki, która przed przyjęciem sztuki na Broadway „sprawdza” ją w prowincjonalnych teatrach — teatry warszawskie ani nie ryzykują prapremier, ani nie chcą grać sztuki „po kimś”, widząc w tym nieomal ujmę na honorze.

Któż bowiem wylansował Mroźka? Kto „Portret” Galiwika? Kto Różewicza i wielu, wielu innych — nie licząc Kruczkowskiego, ale to wyjątek, potwierdzający regułę, nie mówiąc już o tym, że Kruczkowskiego nie trzeba lansować.

Nawet premiera — w Teatrze Kameralnym — „Zielonych rekawic” Tymoteusza Karpowicza nie była bynajmniej prapremierą.

Gorsze zaś, że i ta właśnie sztuka zrealizowana została w sposób, jak to wyżej pisaaliśmy, „manierystyczny”. Miał być jakiś p...

poezja, jakaś liryka z „głębią filozoficzną” połączona. Reżyser oparł całość w balladę (z której na skutek złych warunków akustycznych niewiele zresztą można zrozumieć), a spektakl próbował niby — to wystylizować „pod średniowiecze”, niby — to uwspółcześnić. Wyszło przedstawienie, z którego wynika, że część lu-



Antonina Gordon — Górecka (podstolina) i Władysław Krasnowiecki (rejent) w „Zemście”
Fot. F. Myszkowski

dzi lubi pieniądze, a część ich nie lubi, że ludzie są zli oraz dobrzy i że cudów nie ma. Jak na spektakl reprezentujący współczesną polską dramaturgię — zasób myśli nie nazbyt potężny.

Miejsce tu na zabawny... paradoks — najciekawszymi przedstawieniami warszawskimi (jeśli o rodzimą idzie dramaturgię) są: „Zemsta” i trwale pozostająca w repertuarze Teatru Narodowego „Historia o chwalebny zmarłych wstaniu” — której jednak nad spektakl łódzki byśmy bynajmniej nie przedłożyli...

Przez Polskę idzie od lat moda na odświeżanie i nowe interpretowanie „Zemsty” — Łódź należy do prawdziwie niezbyt już licznych ośrodków, które nie miały okazji oglądać czegoś takiego. Obecnie za spore wydarzenie uchodzi „Zemsta” warszawska wyreżyserowana w Teatrze Narodowym przez Ewę Bonacką.

Dziwny to spektakl. Przede wszystkim najciekawsze aktorsko są tu panie — zazwyczaj bywa zgoła inaczej, zresztą choćby ze względu na sam materiał.

Cześnik awansował. Znowu jest trochę karmazynem, na ścianie wisi rycerska zbroja, a słowa, „hej tam sługi, hej dworzanie” — przestają być pustym dźwiękiem. Wraz ze wzrostem zamożności Cześnika, którego widywaliśmy przebież szlachciurą z wiechciami w butach, zmienił się i Rejent.

Zmienił chyba na lepsze. Jezuita jest, ale i rebaczem, ślini się oblaśnie, ale gdy sam zostaje na scenie — cho dzi po niej polonezowym krokiem, waga podkreśla i wreszcie pozwala nam uwierzyć, że naprawdę stawiał się na pojedynek, co zwykle „nadało dziwne” się wydawało.

IV. „KREMLOWSKIE KURANTY”, „PLATONOW” & FINAL

Warto może odnotować jeszcze jeden spektakl — mianowicie „Kremłowskie kuranty” w Teatrze Polskim, rzecz bowiem w tym, że — pamiętając o łódzkiej premierze „Trzeciej patetycznej” — zamknął on cykl in-

MAREK WAWRZKIEWICZ



czyli rady praktyczne na okres świąteczny

Niewieści niech starodawnym zwyczajem wilię gotują: już wczesną rano niech ciasto zarabiają drożdżami i przypawiają je rodzenkami, szafranem, który dawniej szafianką zwano i różnymi innymi przypawami, bo trzeba piec kolacz na święta. Najważniejszą zaś pomiędzy kolaczami jest strucla albo baba, gdyż ja-

Młode panny wróżyć sobie mogą z kółków w płocie, która pierwsza za mąż pójdzie. Można też inaczej: wybiegają one przed wilią z popiołem na pole, a z której strony pies zaszczecha z tej mąż przyjdzie. Muszą też panny baczyć i na to, jaki ptak nadleci, bo jeżeli kruk lub wrona zakraka to oznacza, że wдовiec przyjdzie z tyłoma dziećmi, ile razy ptak zakrakał.

Można te wróżby sobie robić, a uważać przy tym, żeby kamieniami koło domu nie ciskać.

Wedle inwentarza co zrobić trzeba: krowom masło i miód dać, żeby miały dobre mleko; gąsiorowi, kogutowi i psu dać pieprzu i czosnek z chlebem, żeby każdy

ko opłatek tak i strucla jest oznaką świąt Narodzenia Bożego. Każda niewieśta wiedzieć musi jak długo w piecu wypiekać, kiedy sopuchy w sabbatniku pozawierać i kiedy przypała jest potrzebna. A jakby drożdży w GS zabrakło do strucli, to tu przepis podam: wziąć konopie i w garnku warzyć izby popękały. Później war odlać, a konopie stłuc na miazgę i znów je do waru wlać, tak, żeby woda biała była. Warzyć to w garnku na piecu, dodać cebule dwie albo trzy, soli trochę, zatrzeć mąką z kaszy — i już siemieniotka gotowa.



A kto przy tej robocie niepotrzebny może sobie wróżyć stawiać na rok przyszły i na całe życie. We wilię rano domownicy uważać mają kto pierwszy do domu przyjdzie. Jeżeli mężczyzna i to zdrowy to jest szczęśliwa wróżba, jeśli baba, jest to wróżba choroby lub inszego nieszczęścia.



służący do wróżb. Liczba potraw musi być nieparzysta, żeby była możność przybytku w gospodarstwie. A liczba osób siadających do stołu musi być parzysta, żeby ktoś z uczujących nie umarł w przyszłym roku. Liczba nakryć przy wieczerze musi być nieparzysta, jedno bowiem nakrycie zostawia się dla dusz przodków. Późem wszyscy do stołu zasiądą, a niech każdy — bacząc na obecność dusz zmarłych — zdmuchnie duszę z krzesła, aby jej nie przygłuszył. Potem wszyscy powstawszy opłatkami się mają dzielić, a później jeść do końca i od stołu za wcześnie nie wstawać, bo to nieszczęście sprowadza. Przed wieczerą jeszcze



bydlu jada dostatek przygotować, żeby nocą do obory nie chodzić: bydło w tę noc ludzkim głosem rozmawia, ale niedobrze tego słuchać. Mówi też, że woda w studniach, strumieniach i źródłach o północy w wino się przemienia, ale że nikt nie wie jak zegary w niebie chodzą, trudno ten moment uchwycić.

Po wieczerze przed koledą dobrze znów powrócić sobie z dwunastu orzechów i jak wszystkie będą zdrowe i smaczne, to cały rok zdrowy, a w którym robak będzie i zepsucie, w tym miesiącu choroba będzie.

Później już można koledy śpiewać: o braciach, co pasterzą jeno jak niebo goręje, o pasterzach, co widząc, że noc blisko, wygnali owce na pastwisko i insze. Można też jasełek o Herodzie wystudować, a mają w nich być: Anioł, Herod z papierową koroną na głowie, Żołnierz Heroda z dżidą i szablą drewnianą, Śmierć odziana w białą płachtę i Diabeł unurzany na czarno szadami i opasany łańcuchem.



A przy tym wszystkim trzeba życzyć sobie: „Aby nam się dobrze powiodło, I byśmy długo żyli na świecie, Zebyśmy wszystkiego mieli pod dostatkiem, Zeby nam niczego nie zbywało, Zebyśmy mieli w każdym kątku po dzieciątku A w pośrodku izby Miech pieniędzy.”

CZY MASZYNA zastąpi ELEMENTARZ?

Dokończenie
ze str. 4

skomplikowany cytata włączam zamiast dalszego wyjaśniania programu ZMW oraz przytaczania listy jego zasług. Lecz nie umiem się oprzeć chęci opowiedzenia pewnego wypadku, który chyba doskonale charakteryzuje działalność Związku.

Do Zarządu Wojewódzkiego ZMW w Łodzi zgłosił się młody chłopak. Przyjechał z daleka, kilka godzin tłukł się pociągami z Belchatowa, i zażądał widzenia z „prezesem”. Przewodniczący Zarządu Wojewódzkiego ZMW — ważna figura, więc chłopak przestępuje z nogi na nogę, czapkę w rękach obraca, ale żąda, że on tylko rozmawiać chce z „prezesem” — nikim innym, bo sprawa jest ważna, życiowa, i nikt inny jej nie zrozumie. Jaka to sprawa, pytają w sekretariacie. Chłopak nic, tylko szybciej z nogi na nogę przestępuje, w szybszy młynek czapkę puszcza, on „osobiście musi z prezesem”, on zaczeka, ale osobiście i koniecznie. To może ci twoją sprawę załatwi sekretarz propagandy, pytają, lecz mowy nie ma, tylko „prezes, prezesa nie zna, ale słyszał o nim i wie, że jeżeli kto, to jedynie prezes mu pomoże” w tej ważnej sprawie.

Doczekał się chłopak na swego „prezesa” i powiada — bo u nas, to wszystkie chłopaki umieją tańczyć, — walczyka — walczyka najwyżej na zabawę, ale nie, ni kroku, pro



walczyka. — Taka była wielka, życiowa sprawa chłopaka, że wsi pod Belchatowem, walczyka chciał umieć tańczyć, bo wszyscy w jego wsi potrafili, a on nie.

Załatwiono w ZMW chłopcu kurs tańca, przyjeżdżał raz w miesiącu do Łodzi i uczył się tańczyć walczyka salonowo, i figurowo, i na wszelkie inne sposoby. A później, jak była zabawa we wsi, to chłopak tak walczyka wywinał, że w podziw wszystkich wyprawiał, o czym nie omieszczał donieść w liście do swego „prezesa”.

W statucie organizacji ZMW naczelnym punktem brzmi: „We wszystkich naszych poczynaniach kierować się będziemy zasadą, że celem wszystkich poczynani jest człowiek”.

Ten duży i ten mały, wykształcony i prosty, ten który o Uniwersytecie Ludowym pyta i ten od walczyka.

EWA OSTROWSKA

str.
8

odgłosy

Anonimos tyle znaczy po grecku co nie wymieniony, bezimienny, nie nazwany. Niegdyś anonimowymi zwano towarzyszy akcji. Synonimami tandety były wyroby anonimowe. Anonimem jest również list bez podpisu.

Dyżurny lekarz pogotowia odwieził słuchawkę i bez chwili namysłu wezwał samochód. Nie było czasu do stracenia. Samobójstwo, tragiczny wypadek, zbrodnia? Sprawę trzeba było wyświetlić na miejscu. Po kilku minutach auto wpadło na boczny trakt, za miastem. Płach, dziury, koleiny splatały się w nie kończący się wertep. Wreszcie włoska, o nazwie Pustkowie. Przy opłotkach ludzie, w oczach podniecenie, ciekawość. Gdzie mieszka Genowefa G.? Ano mieszka w tej dużej zagrodzie. Po cóż ten pośpiech? Przecież to już nieboszczka, duszę oddała, żaden lekarz jej nie pomoże.

To prawda, lekarz z jednego rzutu oka połapał się, że zgon już nastąpił. Krótkie oględziny zwłok. Doktor zaczął nabierać przekonania, że gospodyni sama targnęła się na życie. Powrócił więc szybko do miasta i złożył meldunek w prokuraturze. Był do tego zobowiązany, śmierć nastąpiła w sposób gwałtowny. Do wsi ruszyła więc teraz z Poddębic cała komisja. Lekarz, prokurator, milicjanci. Badania, przesłuchiwania, wywiady u sąsiadów. Znowu narada, wreszcie opinia. Jednomyślna. Kobieta cierpiała na zachwianie równowagi psychicznej, długotrwałą depresję. Komisja wydała świadectwo zgonu, ciało pogrzebano, życie na wsi wróciło w swe tory.

Nie na długo jednak. Poszły plotki, że to nie samobójstwo lecz zbrodnia. We wsi zawrzało, fama rosła, Burza wcale nie w szklance wody. Po pewnym czasie do władz nadeszły 3 anonimy. Autor jednego z nich pisał:

„Zmarła miała połamane ręce i nogi. Została zamordowana. Doktor wziął 15 tysięcy złotych za wydanie świadectwa zgonu. Pani prokurator też swoje wzięła...”

Władze wojewódzkie zarządziły ekshumację zwłok. Ekspertyzy dokonali na miejscu pracownicy Zakładu Medycyny Sądowej z Łodzi. Czy można kogoś siłą zabić czy do obory i powiesić? Owszem, lecz nikt nie zdołałby zatrzeć wszystkich śladów. Bez walki nikt życia nie oddaje. Jakies potłuczenia, zadraśnięcia, rany musiałyby pozostać. Ekspert nie wykrył niczego. Odzienie denatki również nie nosiło ani śladów krwi, ani szarpaniny. Motywu ewentualnej zbrodni także nie można było doszukać. Gospodarstwo było wielkie. W takim majątku każda parą rąk do roboty jest dziś na wagę złota. A może śmierć nastąpiła w inny sposób, a potem upozorowano samobójstwo? Nie. Orzeczenie specjalistów brzmiało jednoznacznie:

„Genowefa G... zmarła śmiercią gwałtowną wskutek zawiśnięcia na petli...”

Zatem samobójstwo: Jeśli tak, to i ono musiało mieć swój motyw. Odtworzono jeszcze raz bieg wypadków. Kobieta wraz z dziećmi gospodarzyła na 40 hektarach dobrej ziemi. Należała do najzamożniejszych niewiast w promieniu kilkunastu kilometrów. Niczego tak nie pragnęła jak tego, aby jej syn dobrał sobie żonę po jej myśli. A więc taką z posagiem w postaci nowych morgów. Syn miał atoli głuche ucho na te nalegania. Wybrał sobie biedną dziewczynę z sąsiedniej wioski. Gospodyni przeżyła ten zawód, choć od tej pory zamknęła się w sobie, odgradziła od świata. Swe nadzieje ześrodkowała na córce. Wpiero pokazał się we wsi jakiś pan doktor, później pan inżynier. Zniknęli, słuch po

nich zaginął. Dziewczyna poznała rzekomo taksówkarza. Tak mówiła. Znał się na silnikach, bardzo by się na wsi przydał. Z groszem też nie stał źle, miał coś tam odłożone, sumkę okrągłą. Wiadomo, taksówkarz z miasta Łodzi. Gospodyni długo się jednak biła z myślami, wahała. Nie opuszczała ją rojenia o dalszych morgach. W końcu przystała na ślub jedynaczki z taksówkarzem. Wręczyła nawet córce 60 tysięcy złotych na opędzenie pierwszych kosztów. Ale i w tym momencie nie opuściła jej nieufność. Wezwała krewniaka. Jak się wespierać w potrzebie, to już lepiej na kimś bliskim.

— Jedź do Łodzi — poleciła krewniakowi. — Jedź i wybadaj, co to za taksówkarz, jakie ma auto i tak dalej...

Krewniak powrócił z ponurą miną i hiobową wieścią.

— To żaden taksówkarz — oznajmił — Szofer jakiegoś tam naczelnika w biurze. Żyje z bardzo lichej pensji...

Tym razem cios był silny, gospodyni aż się zachwiała. Więc to tak? Jakis szubrawiec ugania się za majątną dziewczuchą, za cebulową księżniczką. Znamy to, znamy. Po synu córka miała iść między ludzi, którzy ledwo wiazały koniec z końcem. Nie zwlekając, przyzwała do siebie córkę. Zaczęły się pierwsze sprzeczki, ba klótnie. Córka, jak się zdaje, była tym razem po prostu zakochana. Napiecie rościło, tragedia wisiła w powietrzu. Gospodyni schudła, przysgarbiła się. Nie mogła niczego pojąć. Władza nad dziećmi wymykała się jej z rąk. Jakież sens miało życie skoro wyglądało na to, że majątek zostanie podzielony między „parobka” z miasta i „dziadówkę” ze wsi.

Dni wlokły się jeden po drugim. Nadszedł ten osta-

JAN BABIŃSKI

UWAGA — ANONIM!

tni. Z obory dochodził ryk dziesięciu krów. Gospodyni poszła ze skopcem je wydłóżyć. Długo nie wracała. Tam w oborze skończyła ze sobą. Uznała, że ziemia usuwa się jej spod nog.

Ktoś szepnął na cmentarzu: — Ziemia choć cierpliwa, też lubi pożerać.

Pani prokurator w Poddębicach jest młoda, uderzająco przystojna. To ją oskarżał autor anonimu o branie łapówek. Na moje pytanie o tę sprawę uśmiechnęła się z przymusem. Trudno orzec, czym kierował się paszkwi-larz.

— Gdy sąsiedzi dowiedzieli się o wypadku, rzucili się hurmem do obory. Chcieli zaspokoić swoją ciekawość. Rodzina denatki jednak nie dopuściła nikogo do nieboszczki. Szja zmarłej była przeciętą bruzdą. Bruzdą wsielca. Wstydzone się tej czerwonej wstęgi, Sąsiedzi odeszli więc z niczym. swoje przy tym myśleli. No i poszły plotki od domu do domu. One jak chwasty, same się

rodzą na wsi. A może istniał jeszcze jakiś inny powód anonimów? Nie wiem. Zobaczymy na rozprawie.

— Autor anonimu jest znany — spytałem.

— Organa śledcze są na jego tropie. Prawie już wiemy, kto napisał te oszczerstwa. Nazwiska wolałabym nie wymieniać. Sąd rozstrzygnie w tej sprawie. Wkrótce odbędzie się proces paszkwi-larza przed Sądem Powiatowym w Poddębicach.

Smutne są poddębickie doświadczenia z wieloma bezimiennymi listami. Czy wobec tego każdy anonim powinno się rzucić do kosza? Myślę, że nikt tego nie robi. Przedtem zajrzy. Z ciekawości. Kto wie, czy właśnie anonimy nie są formą remanentu, z czasów kiedy to zachęcano dość głośno — „Piszcie rodacy do władz, nie krepujcie się, Piszcie byle dużo. Nawet jeśli wysłuskamy tylko ziarenko prawdy”.

Anonimy są faktem. Ich strumień płynie do rad narodowych, do komitetów partii.

Sekretarz Komitetu Powiatowego PZPR w Poddęb-

icach utrzymuje, że nie wszystkie anonimy należy potępiać. Choć mnóstwo ich zasługuje na potępienie. Jest zwolennikiem złotego środka. Zawsze zaskakiwała go dwouściwość charakteru nie podpisanych listów. Jedne zawierały prawdę, drugie same kłamstwa. Sekretarz cytował przykłady:

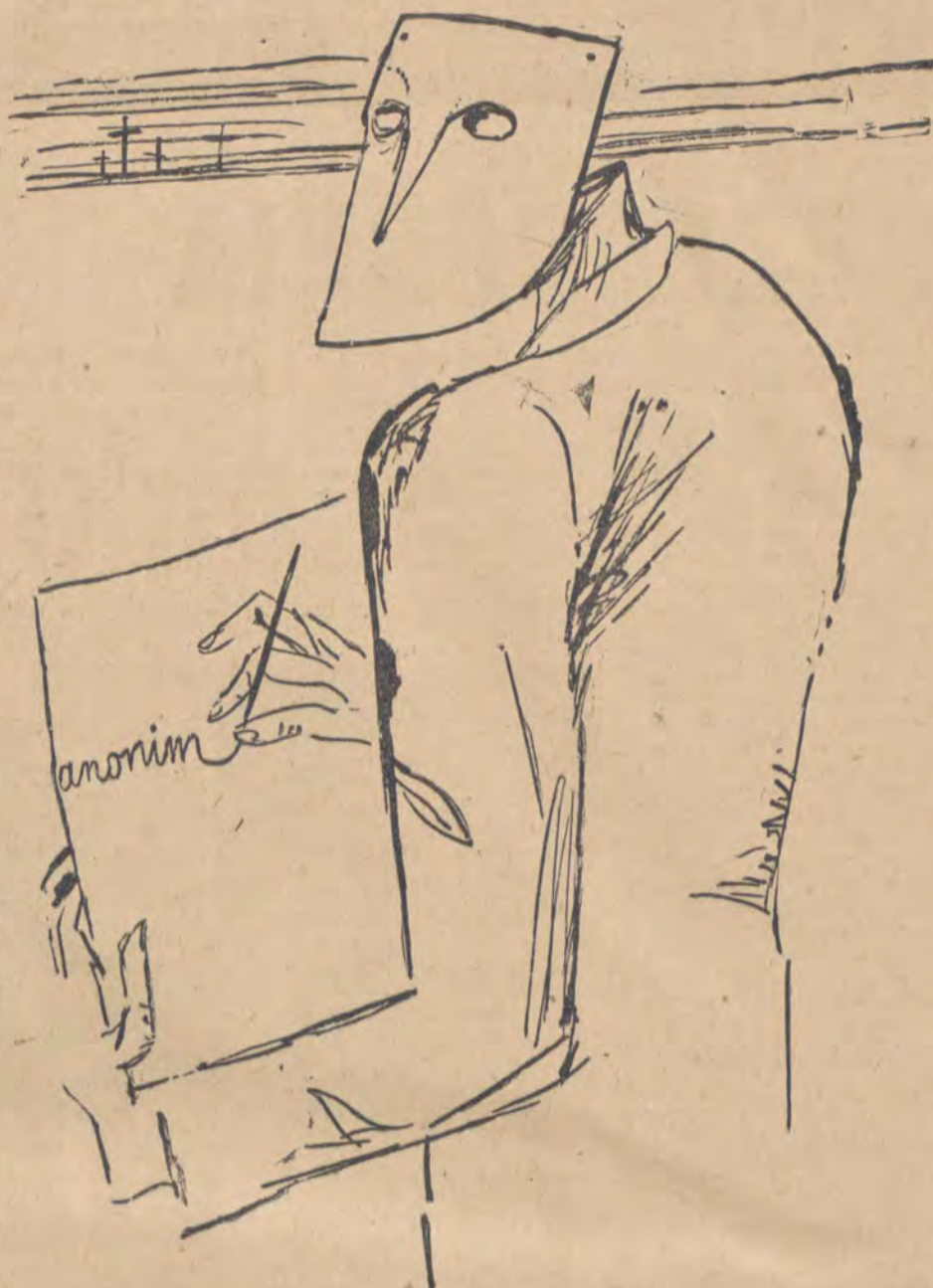
Ktoś podpisany „Towarzysz” donosił, że w prezydium Gromadzkiej Rady Narodowej w Brudnie dzieją się świństwa, że wszyscy tam kradną. Postanowio no działać dyskretnie, dociec co i jak wpiern na przedpolu. Wyniki pierwszych sond były zniechęcające. Same pudła. Potem mignął trop, jeszcze świeży. Na kwitach z akcji zbiórkowej. Po niteczce trafiono do urzędnika, który się rozsiadł na bardzo eksponowanym stanowisku w Prezydium Powiatowej Rady Narodowej. Malwersacje podatkowe i inne sęgały kwoty 100 tysięcy złotych. Gruba szyszka położono na przycz. W celi. Mniejsze szyszki równieć. Brudnie oddech.

Druga strona medalu zwanego anonimem

Kartka papieru zasmarowana ołówkiem. Insynuacje, łgarstwa, potwarz. W długim elaboracie nie było słowa prawdy. Ktoś pluł na gromadzką radę w Turze, zarzucając jej działaczom przekroczenie wszystkich niemal przykazań dekalogu. Autor anonimu sądził, że zaszarga czyjeś dobre imię i zjeździe z oczu. Naświni i pocałujcie go. O nie, wolnego, liścik dostał się już pod lupę. Wpadł w ręce speców ze szkiełkiem w oku. Wprawny grafolog dojdzie końca, choćby paszkwi-larz bazgrał lewym palcem prawej nogi. Znajdzie klucz do szyfru w najbardziej enigmatycznych zawiąsach.

Jakiż więc morał z tego. Kaznodzieja tak mógłby przemówić:

— Prawdę piszcie, i tylko prawdę. Bo anonim jest bronią obosieczną. Jest jak ów miecz, od którego może być rażon, kto nim wojuje. Powiadam wam, że czasami tyle prawdy w anonimie, ile oka karpia w dużym stawie. A w ogóle to podpisujcie co piszecie. Albowiem jest imięgo sercu, kto nawet był na własnego elementu.



Jeszcze turystyczna Polska B

WALDEMAR UCHMAN

No, dzięki Bogu tegoroczny sezon turystyczny mamy za sobą. Mamy za sobą te co plątkowe dyskusje na temat — gdzie jechać, skąd pojechać, namiot, jak skombinować materac, gdzie zamówić sobie domek campingowy i wreszcie te ranne niedzielne rozczarowania z tego powodu, że nie udało się wprasować do pękającego w szwach pociągu do Grotnik czy Bedonia. A może oprócz rozczarowań również i uczucie ulgi — bo ostatecznie jeśli co tydzień do Grotnik, to może już lepiej moczyc nogi w wannie w domu?

I nagle okazuje się, że wcale nie trzeba było pchać się do Grotnik, że przez cały sezon letni działała w Łódzkim Domu Kultury poradnia turystyczna (utajona pod odstrasającym szyldem Poradni Geograficznej). Działała ponoć i poradnia turystyczna w PTT-K, ale tę za kamuflowano jeszcze bardziej — żadne komunikaty, żadne apele nie informowały i nie zapraszały do składania wizyt.

Za to teraz — gdy mamy za sobą już pierwszy śnieg — dowiedzieliśmy się wszystkiego, dowiedzieliśmy się też, że z turystyką było lepiej niż było (przynajmniej według nas). Dowiedliśmy nam tego niedawne posiedzenie Podkomitetu d/s Turystyki LKKF i T. poświęcone podsumowaniu sezonu letniego i wytyczeniu programu na okres zimowy.

Jeśli człowiek siedzi sobie na takim posiedzeniu, to aż go wstyd ogarnia, że jest ta-

Obiecywaliśmy cacanki

ki fajtlapa i zmarnował to łono natury anno domini 1962. Posiedzenie zaczęło się od wręczenia kilkunastu zasłużonym w dziedzinie turystyki — nagród rzeczowych — kilkusetzłotowej wartości każda. Po tym optymistycznym „zagajeniu” obrad mieliśmy okazję posłuchać referatu równie samouspokajającego, by wreszcie przejść do dyskusji, o której trudno powiedzieć, iż wywołała twórczy ferment w interesującej nas dziedzinie.

Mówi się, że plany są po to, by je przekraczać. Ale... o tym za chwilę.

Na rok 1962 planowano przyjazd do Łodzi 57 tys. uczestników wycieczek — zważywszy, że w tym czasie w Łodzi było 75 tysięcy ludzi. Wielu chciało nocować w Łodzi. Jak tłoczno jest w hotelach wiemy, wiadomo również, iż w jednym z dwóch istniejących w Łodzi tanich schronisk szkolnych już od roku trwa remont. Nie lepiej było z wyżywieniem. W Łodzi nie ma ani jednej restauracji, która dawałaby szybko i tanio smaczne po-

silkę np. młodzieży szkolnej. Na marginesie: w każdej wsi w gospodzie jest sala bez alkoholu i w dodatku w godzinach obiadowych obowiązuje absolutny zakaz sprzedaży wódki. U nas można najwyżej zaprowadzić takich uczniaków ze wsi do jakiejś restauracji III kat. — niech czekają 3 godziny, niech przyglądają się jak się pije — to też ostatecznie poznawanie Łodzi.

Wyjazdy z Łodzi planowano dla 255 tys. osób, wyjechało 332 tys. Dobrze, że ludzie wyjechali. Złe, że nie uwzględniono ich w planie. No bo jeśli jechało prawie 100 tys. osób więcej, to trzeba było zapewnić o 100 tys. więcej miejsc w pociągach, o 100 tys. więcej posiłków, o 100 tys. więcej butelek napojów chłodzących i o 100 tys. więcej innych rzeczy. A czy przygotowano? To już wie każdy, kto odważył się znaleźć wśród owych 332 tysięcy. Teraz już chyba nie trzeba uzasadniać owego, „ale” co do przekroczenia planów.

Zawiódł natomiast plan, a raczej łodzenie zawiódł planistów, jeśli chodzi o tzw. wczasy w mieście, czyli po prostu niedzielny wypoczynek w łódzkich parkach i kapieliskach. Według planistów każdej pogodnej niedzieli 275 tys. osób miało spędzić wolny czas w tych miejscach. Spędzało 234 tys. I tak dużo za dużo; przynajmniej, kto choć przez jedną niedzielę bawił w Arturówku lub nad tzw. stawem Stefańskiego. Woda aż gęsta, o trawie ani marny, koc można rozłożyć jedynie na brudnym piasku. Zresztą koca nie warto rozkładać, bo od razu rozsądniej stanąć w kilometrowej kolejce po butelkę wody sodowej lub porcję lodów. W parkach również tłoczno, tu jest zieleń, ale i obowiązuje zakaz siadania na trawie. Owoców w niedzielę ani na lekarstwo, napoje tylko rano. Dobrze więc, że plan został nie wykonany. Co by było gdyby...

Tego, że Łódź nie jest Krynica, nie trzeba dowodzić, tak jak i nie trzeba chyba dowodzić, iż mieszkańcy Łodzi woleliby na niedzielę z miasta wyjechać. Może więc skończymy z upieraniem się przy wczasach w mieście? Zresztą w enuncjacji Podkomitetu d/s Turystyki znajdujemy argument dla tej sugestii: „PTTK prawie w ogóle nie zajmowało się wypoczynkiem świątecznym...” Takie samo stwierdzenie skierowano pod adresem biur obsługi turystycznej.

A więc Ameryki nie odkryliśmy. Że było źle, wszyscy wiemy. Wiedzą chyba również dobrze specje od turystyki zebrani na posiedzeniu Podkomitetu. Wiedzą, ale nie mówią. To prawda, dyskutowano, ale tak dyskutowano, by czasem nie powiedzieć czegoś zbyt przykre. Oto w telegraficznym skrócie „dyskusyjne” wypowiedzi:

✧ Turystyka rozwija się coraz lepiej. Jak wynika z

referatu trudności zostały przełamane...

✧ Wszyscy tu znają nasze błędy i trudności, nie trzeba więc o nich mówić...

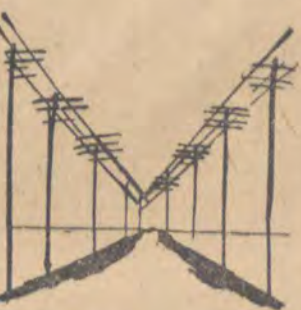
✧ Mówi się, że młodzież wiejska powinna przyjeżdżać do Łodzi, ale jedno schronisko jest od roku w remoncie, a drugie i ostatnie trzeba co rano związać, gdyż służą jednocześnie za sale lekcyjne.

✧ 90 proc. wycieczek odbywa się na trasie Łowicz-Arkadia-Nieborów, innych tras nikt nie zna i nie reklamuje...

✧ Odrzucono 50 proc. założeń na wycieczki do Łodzi z braku noclegów — „sprzedawaliśmy” owe wycieczki Bydgoszczy...

✧ Przedstawiciel organizacji młodzieżowej „podsumował” tę część dyskusji, której wysłuchał, wziął płaszczyk i wyszedł. Po co przychodził — nie wyjaśnił.

Były w dyskusji i głosy niespokojne. Nikt jednak nie zdecydował się na uczciwą analizę i krytykę tego, co przeżyliśmy wszyscy w sezonie letnim. Przebiegiwano nieśmiało, że trzeba, że warto, że można, ale tak nieśmiało, iż nikt tego nie podchwycił.



Nawet uczciwie przygotowana — chyba jedyna dobra — przemysłowa — wypowiedź przewodniczącego LKKFPT też nikogo nie sprowokowała. A mówił on rzeczywiście rzeczy ciekawe i warte dyskusji. Na przy-

kład, że powinniśmy bardziej chwalić się tym, iż u nas każdy może zobaczyć fabrykę w ruchu, że może zobaczyć u nas jak rodzi się film, że potrzebna jest rywalizacja, a zarazem współzawodnictwo wszystkich, którzy organizują turystykę, że proszą o poparcie w stacjach o jakąkolwiek rudę, gdyż są fundusze na przerobienie jej w tak potrzebną miastu centralną wypoczynkową sprężynę sportową; że autokary fabryczne stoją beczynnie, gdy janni chcieli... Przewodniczący Zatkę poruszył jeszcze wiele innych spraw, zasadniczych, nie podwórkowych i chyba dlatego nikt mu nie odpowiedział, ani tak ani nie.

Tak jak i my pogadaliśmy sobie swego czasu na łamach i w redakcji „Ogłoszeń” o tym, że pod względem ruchu i zaplecza turystycznego Łódź jest Polską B. Pogadaliśmy, posłuchaliśmy, obiecaliśmy, przekazywaliśmy Czytelnikom i — nie. A wypowiadali się przecież ludzie kompetentni, o rzeczach ważnych. Obiecywali...

Obiecywali pociąg do Spal-

ly...

Obiecywali mapę Łodzi i przewodnik po województwie...

Obiecywali koordynowanie budownictwa campingowego.

Obiecywali, że będzie wia-

domo, czym dysponujemy w województwie.

Obiecywali dyskusję o PTT-K...

Obiecywali...

Obiecywali... My też obiecywaliśmy. Obiecywaliśmy, iż przypomnimy wszystkie marzenia i potrzeby łodzian przy okazji lutego posiedzenia Podkomitetu, (gdy będzie się opracowywały plany dla łodzian na lato 1963. Choć wtedy będzie już nieco późno. Bo choćby o mapie trzeba pomyśleć natychmiast, a i o innych sprawach także. Przypominamy. I obiecy-

Sedno rzeczy MARIAN PIECHAL

W PRZEDEDNIU SETNEJ ROCZNICY...

Czego? Powstania Styczniowego. Jest to fakt w dziejach Polski jeden z najważniejszych. Dzięki Powstaniu Styczniowemu skończyliśmy ostatecznie ze średniowieczem, a wkroczyliśmy w nowoczesność. Dzięki Powstaniu Styczniowemu udowodniliśmy światu, żeśmy w okresie niewoli nie wyżyliśmy, lecz wewnętrznie dojrzewaliśmy, tworząc wartości świadczące o naszym niezaprzeczonej prawie do samodzielnności narodowej, społecznej i politycznej.

O naszej żywotności narodowej w okresie niewoli świadczy wspaniały rozwój naszej literatury, sztuki i nauki. Mimo bezprzykładnego ucisku narodowego, stosowanego we wszystkich trzech zaborach, mimo nieludzkich prześladowań, dyskryminacji i eksterminacji na każdym polu życia zbiorowego, naród polski stworzył w tych warunkach dzieła o największej i najtrwalszej wartości, sygnowane takimi nazwiskami jak Mickiewicz, Chopin, Matejko, Lelewel czy Curie-Skłodowska.

O naszej żywotności społecznej i politycznej świadczya wszystkie nasze powstania; od tego plebejskiego począwszy w roku 1794, a na proletariackim skończywszy w roku 1905. Tadeusz

Polanieckim w ręku, to nie tylko wyraz rozsądku politycznego, ale także dojrzałości społecznej narodu. Obecność późniejszych przywódców Komuny Paryskiej, Jarosława Dąbrowskiego i Walerego Wróblewskiego, w partyzanckich oddziałach Powstania Styczniowego, świadczyła nie tylko o politycznym, ale i społecznym aspekcie tego Powstania. Każdy następny zryw buntu narodowego miał coraz silniejsze akcenty społeczne, coraz wyraźniej dochodziły do nich do głosu masy ludowe, by wreszcie w roku 1905 zyskać akcent wybitnie, jeśli nie wyłącznie, rewolucyjny w sensie najbardziej nowoczesnym.

Z wielu publikacji, które ukazywały się ostatnio na temat roku 1863, najbardziej godną polecenia wydaje mi się książka Pawła Jasienicy, wydana przed dwoma laty w Państwowym Instytucie Wydawniczym, pt. „Dwie drogi”. Dwie drogi to znaczy dwa sposoby odzyskania niepodległości proponowane przez dwie antagonizujące orientacje polityczne, tzw. Czerwonych i Białych. Właśnie w ogniu Powstania Styczniowego wykształciło się ostatecznie nowoczesne pojęcie prawicy i lewicy politycznej, wstępnictwa i postępu społecznego, reakcji i rewolucji.

W wydanym przed kilku miesiącami nowym dziełku Pawła Jasienicy pt. „Tylko

o historii” znajdujemy osobny rozdział poświęcony zwięzłemu wykładowi poglądów autora na Powstanie Styczniowe, popartych zresztą autorytetem w'elu wybitnych historyków współczesnych, między innymi także i rosyjskich. Rozdział

ten nosi tytuł: „Obrona grzesznicy”.

Czytamy w nim, że główną zasługą Powstania Styczniowego, to „uwłaszczenie chłopów”, które zerwało ostatecznie pepowinę łączącą nas ze średniowieczem i pchnęło zdecydowanie nasze dzieje na tory nowoczesnego rozwoju. Czytamy: „Ukaz uwłaszczeniowy ogłoszony przez Aleksandra II w Rosji w roku 1861 nie czynił chłopów pełnoprawnymi właścicielami... i nie odnosił się do ziem polskich. Nad środkowym biegiem Wisły wytworzyć się zaczynała depresja ostatni pod tą szerokością rezerwat średniowiecza. Z połączonych działań carskiego rządu i najbardziej zacofanych odłamów polskiej magnaterii nie dobiegło narodzić się nie mogło... Powstańczy Komitet Centralny Narodowy, ogłaszając dnia 22 stycznia 1863 roku dekret o uwłaszczeniu, gwałtem zmienił sytuację i sprawił, że wieśniak u nas otrzymał ziemię na warunkach lepszych, niż gdziekolwiek w Europie”.

To ostatnie zdanie Jasienicy potwierdza autorytatywnie znany historyk, Marian Kukiel, autor ostatnio wydanego dzieła pt. „Dzieje Polski porozbiorowej”. Czytamy w nim na stronie 370: „Powstanie dokonało jednego pozytywnego dzieła. Przeprowadziło pełne uwłaszczenie chłopów,

Nie ułamkowe, stopniowe, odrabiane i odkupywane przez dziesięciolecia jak w Prusach, a zwłaszcza w Rosji... Milut'n — liberalny reformator (w rządzie carskim), który w Rosji na próżno walczył o pełne uwłaszczenie — przekonał cara, że trze-

ba przyznać chłopom polskim przynajmniej tyleż, ile im nadał Powstańczy Rząd Narodowy...”

A Paweł Jasienica, potwierdzając ten fakt cytując ze starego historyka rosyjskiego, dodaje ironicznie: „I jednocześnie czytamy u wybitnych nawet współczesnych pisarzy polskich, że chłop polski zawdzięcza uwłaszczenie carowi”.

I dalej pisze Jasienica: „Powstanie Styczniowe za cenę krwi z powrotem przywróciło Polskę do Europy... Gdyby nie Powstanie Styczniowe, a mówiąc ściślej, gdyby nie cały ruch z lat 1861-1863 — w roku 1918 trzy dzielnice Polski posiadałyby zupełnie różne ustroje społeczne... Kiedy się dziś patrzy z perspektywy stulecia, pewne rzeczy widać wyraźnie. Przede wszystkim to, że gdyby nie powstanie, owo spóźnienie przybrałoby rozmiary śmiertelne. Moglibyśmy okazać się niezdolni do wyzyskania szansy, jaką nam nieoczekiwanie dał rok 1918”.

Co zaś do twierdzenia Jasienicy, że Powstanie Styczniowe „z powrotem przywróciło Polskę do Europy”, to znajduje ono swoje uwiarytelnienie u wyżej wspomnianego historyka (str. 365-366): „Nigdy bodaj przedtem ani potem nie stała sprawa polska tak mocno w opinii europejskiej, nie miała takiego odgłosu w uczuciach

narodów i tak powszechnego niemal poparcia. Służyły jej piero najświetniejszych pisarzy, wymowa polityków, trybunów ludu, kaznodziej nieraz natchnionych. Rzeczników miała wśród przywódców rewolucyjnych jak Her cen, Bakunin, Mazzini i Garibaldi, Marks — i wśród katolickich księży Kościoła oraz takich jak Montalembert najwybitniejszych katolickich pisarzy”.

I dalej pisze tenże autor: „Obficie płynęła pomoc pieniężna — z Francji, Anglii, Szwajcarii, gdzie czołowy pisarz tego kraju, Godfrey Keller, stał na czele wielkiej organizacji pomocy Polsce, z Węgier, skąd szedł i sprzęt i broń, a nawet, jak wyżej wspomniano, z Rosji. Napływali też ochotnicy. Kto wie, czy nie najwięcej było Rosjan, na pewno dużych kilka setek, skoro aż sześćdziesięciu kilku było rozstrzelanych, dziesiątki poszły do katorgi, wielu poległo. Byli wśród nich dzielni oficerowie. Niektórzy z szeregowców wyrosli na tegich oficerów powstania. Bohaterski partyzant, Kozak Podhaluzin, dowodził własnym oddziałem. Było też kilkuset Węgrów, którzy z kraju i z pułków stacjonujących w Galicji i bratających się jawnie z powstańcami szli bić się za Polskę zwykłe konno i zbrojnie, często groźnie. Już w lutym znaleźli się na polu bitew. W marcu przybył major hr. Edward Nyary z 17 towarzyszami — ten odbył całą kampanię Lelewela-Borelowskiego, poległ 3 września w bitwie pod Panasówką. Plk. Valisz, Węgier, był szefem sztabu Lelewela: poległ 6 września wraz z nim pod Batorzem. Roito się od Węgrów w partiach formowanych w Galicji. Niemal czysto węgierską była „Legia zagraniczna”, która biła się w sierpniu pod dowództwem kpt. Zoar da Bornomissy i Szveda kpt. Molborge. We wrześniu walczył w partii Zygmunta Chmieleńskiego rotmistrz hr. Otton Esterhazy — poległ 30

września pod Melchówem. Ustalono nazwisk węgierskich żołnierzy powstania blisko 100, a było z pewnością parokrotnie więcej. Włochów było na pewno paruset, z tego 80 garihaldczyków z plk. Nullo. Zarówno ich jak Węgrów byłoby kilkakrotnie więcej, gdyby Rząd Narodowy przyjął propozycję legionów włoskich i węgierskich pod własnymi sztandarami. Tego nie mógł zrobić, by nie prowokować Austrii, z ryzykiem utraty bazy galicyjskiej, nieocenionej dla powstania. Francuzów nie było w'elu — wymieniono wyżej Rochebrauna i Younga de Blankenheim. Było jeszcze kilkudziesięciu może ochotników przybywających indywidualnie, licząc się przecież we Francji, że przyjdą całą armią cesarską. Niemców były liczne grupy głównie rzemieślników i robotników ze Śląska: było też kilkudziesięciu ochotników czeskich. Szwajcarski sztabowiec, plk. Fischer von Erlach, jako obserwator brał udział w operacjach powstańczych i ziożył relację rzetelną i pełną sympatii. Ta manifestacja przez inne narody braterstwa broni z Polską walczącą mała znaczenie moralno-polityczne. Wbrew ostrożnej i chwiejnej polityce rządów świadczyła, że wojna podjęta przez nie dla wyzwolenia Polski miałaby za sobą poparcie całej prawie Europy”.

Powyższy cytata świadczy, jak bardzo Powstanie Styczniowe było dziełem nie jedynie, tylko wszystkich warstw społecznych, nawet chłopów. O jego postępowym charakterze świadczy pełna aprobata dla niego ze strony Karola Marksa. Był to naprawdę zryw całego narodu do walki o swą niepodległość.

odgłosy

str 9

„Wesołych Świąt i szczęśliwego Nowego Roku życzą...”

Tysiące tego typu życzeń wędrują w świat spisane na barwnych pocztówkach — brzydkich i ładnych, z szopką i trzema królami i z całkowicie neutralnym religijnie widoczkiem — malowanych przez Szancera, Siemiaszkową, Buteńkę... Kartka pocztowa — skrawek papieru, dowód czyjejś pamięci, albo dowód, że ktoś pragnie aby myślarz, że pamięta... Świąteczna kartka pocztowa — blisko 300 projektów ponad 20 artystów, wydanych w bieżącym roku w nakładzie 10 milionów egzemplarzy.

Świąteczna kartka z życzeniami — kolorowy światek papieru o osobliwej a nader krótkiej historii. U źródeł tego zwyczaju, zwyczaj całkowicie laickiego, choć



częła się powolna ekspansja ilustracji na całą kartkę.

Ale i jeszcze wówczas nie było w powszechnym zwyczaju wieszować sobie i życzyć pomyślności za pośrednictwem kartki pocztowej. Od początku XIX stulecia przywilej składania barw-

się jedna: — pocztówka. Nazwy widokówki w spisie nie ma i widocznie powstała później.

Pocztówka wraz ze wzrostem tempa we wszystkich dziedzinach życia staje się coraz bardziej popularną formą kontaktu. Ustalają się stereotypy w rodzaju „dużo szczęścia i pomyślności”, „zdrowych i wesołych świąt”, „wszystkiego najlepszego”... W krajach dotkniętych standaryzacją w dużo większym stopniu niż Polska na świątecznych kartkach życzenia są już wydrutowane — wystarczy tylko wybrać sobie odpowiednie i podpisać się. Tak dzieje się na przykład w Stanach Zjednoczonych, gdzie zresztą pocztówki wyglądają zupełnie inaczej. Są to mianowicie duże arkusze papieru złożone we czworokąt i wydrutowane na czolewej stronie widoczkiem zimny lub parą roześmianych

OPOWIEŚCI

o prostych ludziach

Książka Kazimierza Przybył-Stalskiego poświęcona jest partyzantce GL i AL w czasie okupacji na terenie Ziemi Łódzkiej. A więc jeszcze jedna pozycja wzbogacająca historiografię tego czasu. Autor zawarł w niej także materiały mówiące o współpracy partyzantki AL z partyzantami radzieckimi (działającymi w Łódzkiem!) i poszczególnymi grupami innych formacji walczących z okupantem hitlerowskim. Czasokres opisywanych wydarzeń to lata 1942–1945.

Czy taki (lub podobny) zapis tego, co znajdujemy w książce wystarczy? Czy w sposób wystarczająco jasny mówi o tym, co stanowi zasadniczą treść książki? Zapewne, że z grubsza orientuje w problematyce; że niejednego zachęci do przeczytania. Ale chyba nie odpowiada jeszcze na pytanie, które jest postawione na wstępie: czy książka ta jest dokumentem? „W takiej mierze jak wszystko, co daje świadectwo prawdziwe” — odpowiadają redaktorzy. Bar-

dzo to ostrożnie sformułowane. Może zbyt ostrożnie.

Autor wyjaśnia, że źródłem, z którego czerpał materiał do książki, były wspomnienia uczestników partyzantki, relacje ustne członków ruchu oporu i własne przeżycia. Książka mieści w sobie te różne opracowania. Autor przytoczył tu i ówdzie nawet większe fragmenty wspomnień, na przykład bardzo interesujący opis Mieczysława Janiszewskiego, współorganizatora grupy bojowej z Niewierszyna, na przykład wstrząsające dokumenty zawarte w rozdziale „Kainowe zbrodnie”. Te partie książki zasługują na uwagę. Są rzeczowe, pełne autentyzmu, oddają surowy klimat tamtego czasu. Nawet wówczas kiedy autor wspomnienia odstepuje od suchego relacjonowania faktów i daje uogólnienia, które w innym wypadku zostałyby tylko sloganami: „Akcie nasze pobudzały ducha oporu wśród gnębionej ludności. Sława o czynach gwardistów obiegła lotem błyskawicy okolice Ziemi Opo-

czyńskiej...” Właśnie te uogólnienia w innym wypadku nie by nam nie mówiły, tutaj zaś dźwięczą czysto i mają wartość dokumentu. Świadczą o postawie ludzi, którzy walczyli. Wolno tak pisać, skoro poprzednie strony są wypełnione rzeczową relacją, kiedy oglądane fakty, zdarzenia same niejako układają się w tok czasami barwnej, czasami wstrząsającej narracji. Liczne zdjęcia uczestników ruchu oporu, i fotokopie rozkazów i pism uzupełniają ten obraz.

Ale koncepcja książki jest niejednolita. Obok materiałów o charakterze czysto dokumentalnym zamieszczone są rzeczy, które w sposób wyraźny ciążyą ku beletrystyce. I nie ma w tym nic złego. Niektóre obrazy Przybył-Stalskiego są bardzo sugestywne. Ale są i takie, które osłabiają wymowę książki. Wprawdzie autor zastępuje się, że jego książka nie ma ambicji literackich, jest tylko wyborem prac publicystycznych, niemniej w „Partyzanckim czasie” widać pewne skłony tych dwu konwencji: dążenie do dokumentalnego „opisania” niektórych faktów i epizodów z dziejów GL i AL w woj. łódzkim i tendencja do beletryzowania (siłą rzeczy nie zawsze udanego) przedstawiania wydarzeń. Wydaje mi się, że gdyby Przybył-Stalski, znany działacz i organizator PPR w Łódzkiem, który ma tyle przeżyć za sobą, tyle gorzkości i niegorzkości doświadczeń pozostał wierny dokumentalnej prawdzie, jego książka zabrzmiałaby jeszcze mocniejszym tonem.

Wszakże wydaje mi się, że aby wyznaczyć rangę tej książki, nie trzeba pisać, że jest ona tylko dokumentem. I nie trzeba pisać, że jest tylko próbą zbeletryzowania partyzanckiego czasu. Jest to książka o prostych ludziach. O robotnikach, o chłopach, o inteligentach; o komunistach i bezpartyjnych; o ludowcach, o wszystkich tych, których w okresie niewoli „złączyła wspólna więź ideowo-polityczna”. Jest to opowieść o bohaterstwie rodziny Kanafów, o „Łokosiu” z Puszczy Mariańskiej, który już sam jeden stanowi osobny temat. Jest to książka o prostych ludziach walczących. O partii, która rozdziła się w walce, w lesie, i to jest jej walorem największym. Na czoło wysunęli się prości ludzie. To są główni bohaterowie. Autor dostęga nie tylko dowodów, dostrzega szeregowca. Autor przełamuje pewien fałszywy mit — nieobecności komunisty. Był taki mit krzywdzący ludzi najofiarniejszych. Przybył-Stalski opisuje ludzi w walce, przypomina o ludziach dojrzałych, którzy znali cele do jakich dążyli. I to co u innych pisarzy, podejmujących podobną problematykę, mieści się w sferze pytań czy wątpliwości, u Stalskiego jest pewne i jasne. Pokazanie tych ludzi, że byli, że walczyli, jest zasługą autora „Partyzanckiego czasu”. I choć Przybył-Stalski zaznacza, że książka nie wy-czerpuje problemu, posiada lukę w czasie, miejscu i chronologii wydarzeń, dobrze jest, że się ukazała.

TADEUSZ PAPIER

Kazimierz Przybył-Stalski, „Partyzancki czas”. Wydawnictwo Łódzkie, 1962 cena zł 12.

JERZY WILMAŃSKI

KARTY POCZTOWEJ HISTORIA OSOBLIWA

związanego dziś nierozdzielnie z każdym religijnym świętem, znajdziemy chyba zwykły pocztowy bilet wizytowy. Był on dowodem pamięci, przesyłano go znajomym i zwierzchnikom z różnych okazji. Ot, z racji awansu, orderu...

Siabym w piśmie i koncepcie sytuacji ułatwiało dzieło o przydługim tytule „Wzory biletów, listów i memoriałów w różnych materiałach z przydatkiem uwag w powszechności o stylu listowym, przypisków względem szczególnych listów i drobnych przestrog względem formalności w pisaniu zebrane i podane przez S. S. z trzeciej, 1797 Warszawskiej edycji, wydrukowane w Płocku w Drukarni Akademickiej S. J. Roku 1813”. A zatem prapoczątków dzisiejszej pocztówki szukać można już u schyłku XVIII wieku. Owe „Wzory biletów” były przecież wzorami krótkich powinszowań w rodzaju: „Tuszę, iż nie będzie Wacpanu niemilem powinszowanie moje z głębi serca płynące” z okazji na przykład nadania komuś Orderu św. Włodzimierza. Wówczas nie składano jeszcze sobie życzeń z okazji świąt.

Pocztówki w takim mniej więcej kształcie jak obecnie pojawiły się — jak twierdzi Andrzej Banach w swoich „Podróżach po szufladzie” — gdzieś około 1870 roku. Wtedy to prawie równocześnie zarządy poczt Anglii, Niemiec, Rosji i Francji wydawać zaczęły drukowane kartki zwane odkrytkami lub korespondentkami. Na jednej stronie owych odkrytek było miejsce na adres, na drugiej zaś na korespondencję. A widoczek? Widoczek był na stronie adresowej i z reguły przedstawiał herby miejskie, godła państwowe czy portrety panujących. Od tych szablonowych malunków za-

nych kartek ze świątecznymi życzeniami zarezerwowany był wyłącznie dla kominiarzy, pocztylionów i... suflerów teatralnych. Dopiero — jak twierdzi Stanisław Wasylewski — „Od połowy stulecia na dzień św. Józefa Warszawa obdarowywała solenizantów litograficznymi widokówkami osobliwości stolicy”.

Tak więc trop został znaleziony. Potem, około roku 1900, przeciętna kartka pocztowa wyglądała już podobnie jak dziś. Po jednej stronie obrazek, po drugiej adres i korespondencja.

A życie nabiera tempa. Coraz mniej czasu na konwencjonalne wizyty — wieki pary i elektryczności ma swoje prawa. Kartka pocztowa staje się w jakimś sensie znakiem czasu. Kilka słów skreślonych na pocztów-

bobasów. Akcentów religijnych na amerykańskich kartkach świątecznych prawie się nie spotyka.

U nas „Ruch” nie próbuje na razie takich eksperymentów. Życzenia, choć prawie jednobrzmiące i standardowe, wypisujemy sami. Jest to zresztą chyba daleko sympatyczniejsze dla adresata. Pozostaje bowiem ta jakaś ukryta pod stereotypem nutka osobista. Ślad pióra na papierze choćby w zwrocie banalnym jest jakiś cieplejszy niż najpiękniejszą antyką wydrutowane życzenia.

Setki, tysiące życzeń wysyłają ludzie z okazji świąt na setkach, tysiącach, brzydkich i ładnych pocztówek. Jest coś wzruszającego w najbardziej banalnej nawet pocztówce, jest jakaś chwila poświęcona nam przez na-



Wesołych Świąt!

ce, zwroty „w dowód pamięci przyjm drogi Wuj” — życzenia pomyślności z Nowym Rokiem anno domini 1901 — wystarczają dla utrzymania towarzyskich, rodzinnych stosunków.

Kartka pocztowa robi karierę. W Warszawie organizują w owym czasie wystawy widokówek. Modne bowiem było w owym czasie ich kolekcjonowanie. Na jednej z tych wystaw urządzono nawet konkurs na nazwę tej formy korespondencji. Wpłynęło nań wtedy sto kilkadziesiąt pomysłów. Znajdziemy tam takie: „bezko-perotka, bazgrołka, biletówka, jawnoczytka, jawnotka, kartkówka, kartopis, malowan-ka, nibylst, niedyskretna, nowinka, odsłonka, okazyj-ka, pismówka, pocztówka, przelotka, skrótko, słanka, taniówka, włastka, wieściówka, wysłanka, zwiastunka...” Było tego oczywiście więcej, ale jak wiadomo przyjęła

dawcę, jakaś myśl towarzysząca ruchowi pióra...

I pomyśleć, że tak stosunkowo niedawno — niecały wiek temu — zastanawiano się, czy owa — jak mówiono — dziwaczna innowacja przyjmie się. Przyjęła się i to jakie! Chociaż i dziś kartka pocztowa, właśnie ta świąteczna, kiedy przestala wreszcie być kiczem i plastyczną szmirą, ma swoich wrogów. Pewien szaleniec po myślowy dziennikarz proponował niedawno aby oszczędzanie papieru zacząć od... ograniczenia nakładu świątecznych pocztówek. Oczywiście, takich propozycji nikt poważnie nie traktuje a i my mamy w zanadru parę żartobliwych uwag na temat powyższej propozycji. Ale dajmy im spokój. Lepiej wysłamy wrogowi pocztówek jakieś sympatyczne życzenia świąteczne. Właśnie na barwnej kartce pocztowej.

JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ

POWRÓT

Pierzaste flety we mgłę nad srebrnym oceanem.
Wracali z ziemi Hesperyd, zielonowłosi i nadzy,
Z wilgą w płonących dłońiach.

Przypis: Pierzaste flety czyli flety poetów albo samoloty; wilga w płonących dłońiach czyli słońce; zielonowłosi jak Telegonos, syn i morderca Odysa, nadchodzący z morza. Porównaj: Mimnermos: fragm. 10 i Homer: Odyseja, pieśń 11.

NOC MIŁOSNA

Lesbio, ten blask, te kroki, ta krew uskrzydłona,
Te iskry lodu w krtani twoich błękitnych psów.

EPITAFIUM dla PODRÓŻNYCH

O białostopi, dokąd biegniecie z psami na smyczy?
Płyną rozdarte zwierzęta w dymie grających sfer,
I dzieciom rosną skrzydła a pleśń zmieszana jest z krwią.

SZTUKA RYMOTWÓRCZA 1962

Ta dama z psem przed laty powróciła z piekła i napisała traktat de lingua Latina (na wilgotnym chodniku sennie płatki fiołków)
A z nozdrzy psa wylał bucha zapach krwi i siarki.

IMIĘ

Lesbio, me wiersze w płomieniach i dymie;
Płatek popiołu, to jest twoje imię.

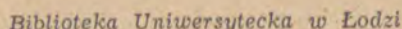
Patrz! Biegną tu i dymi asfalt zakrwawiony.
Kogo dziś gonią białe charty Czasu,
Któż wie, kto pyta? Będziesz albo byłeś

LOS POETY

Alkaios we śnie Pisywał listy do trzech zmarłych ptaków.
Los Alkaios! Trzy ptaki czytywały te listy na jawie.
Z tomu p. t. „Metafizyka”, który ukaże się nakładem „Czytelnika”.

odgłosu

str. 11



razem z nim. Jesz
schody, zakręt,
na które samochód
wieziono nową p
stów. Za chwilę
pracownicy będą
gować, układając

A DUMB BEGGAR

A dumb beggar arrived at a town where he had begged two or three times before. A man who used to give him money before, began to speak to him. But the beggar made no answer.

The man cried:
— Well, how long have you been dumb?
No answer.
The man repeated:
— How long have you been dumb?
— Since I was born, — answered the beggar.

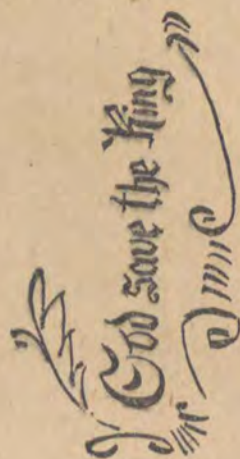
IN THE CLASSROOM

A teacher was speaking to his pupils of the different seasons.
He asked:
— Who can tell me what is the best time to gather fruit?
— When the dog is chained up, — said little John.



— Used it? But you could not explain where it was.

Tom said:
— When they asked about it, I did not know what they wanted. I did not know that this thing was the Seal. Then how did you use it, my boy?
Tom's face grew very red and he was silent.
The king said:
— Fear nothing, speak up. How did you use the Great Seal of England?
Tom said:
— I cracked nuts with it.



Na tym kończymy cykl tekstów adaptowanych w języku angielskim.

Wybór i adaptacja: ZENON RUDNICKI

Ilustracje: IBIS — GRATKOWSKI

DER RATGEBER

Ein junger Mann kommt zu seinem Onkel und sagt:
— Mein liebster Onkel, du bist ein reicher Mann und hast ein grosses Büro. Ich möchte bei dir arbeiten.
Der Onkel ist aber sehr beschäftigt und will mit dem jungen Mann nicht sprechen. Er hat keine Zeit.
Der junge Mann wiederholt seine Bitte. Endlich antwortet der Onkel:
— Mein Junge, was soll ich mit dir anfangen? Ich kann dir höchstens einen kleinen Posten in Mainz geben.
Der junge Mann ist mit der Antwort des Onkels nicht zufrieden und sagt:
— Nein, lieber Onkel, das ist mir zu weit. Ich will hier in Hamburg bleiben. Ich will dein privater Ratgeber sein. Ich will dir immer einen guten Rat geben.
Der Onkel lacht und sagt:
— Schön. Das ist ein guter Gedanke. Fangen wir gleich an. Also gib mir einen Rat: was soll ich machen, damit du mich in Ruhe lässt?

EIN SPIEGELBILD

Peter schreibt seine Hausaufgabe:
„Am Ufer des Dorfteiches sass ein schönes Mädchen. Das Mädchen melkte eine Kuh, aber im Wasser sah es umgekehrt aus.“

Na tym kończymy cykl tekstów adaptowanych w języku niemieckim.

Wybór i adaptacja: ZENON RUDNICKI

Ilustracje: IBIS — GRATKOWSKI

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

bitwa w lasach pod Dobrą

I chociaż był przygotowany na hłobowe wiadomości, ta, która go dosięgła, przeszła najgorsze oczekiwania. Słowa Pauliny docierały z początku do jego świadomości z opóźnieniem. Może dlatego, że sam jej wygląd wywierał fascynujące wrażenie i przyciągał przede wszystkim uwagę (po zerwaniu z modą narzuconą przez ultramontanki zaczęła ubierać się jak wszystkie patriotki, po polsku: czarna sukienka, hebanowy krzyż na czarnej wstążce, odcinający się od białej szyi, i srebrny orzeł zamiatł brzośki). — Przez te niepotrzebne marsze przez miasta i miasteczka — mówiła z rozpaczą w głosie — przez te marsze, które miały podnieść ducha w narodzie i obudzić uczucia patriotyczne ludność!

— Postuchaj, co mówi Na tka, — Dwie rotty piechoty i sotnia Kozaków — potwierdziła Natalka. — Przeszli z rana przez miasto i poszli na Dobrą, tam gdzie powstańcy rozbili obóz. — Dziewczyno, skąd ty możesz wiedzieć, gdzie jest obóz powstańców, i dokąd poszli Rosjanie? — rozłożył się na służącą. — Może ten sztabs-kapitan zwierzył ci tajemnicę? — na'grywał się z Natalki. — Może ty jesteś dama jego serca? — Każde dziecko o tym wie — przekomarzała się z panem. — Ale ty, pytam się? Ty skąd o tym wiesz? — A stąd, że Pacyna jeździł do swojego Franka do obozu i wrócił dzisiaj z rana, aha! — Co takiego? To Franek był w oddziale Dworzaczka? Nikt go tam nie widział, jak maszerowali przez miasto. — A bo oni przyszli na biwak w Radogoszcz dopiero w nocy. — Skradającym się krokiem podszedł do Natalki. — Co za oni? — zasyczał. — Co za oni? — Spłoszona, odgarnęła splechniętą dłonią smugę włosów z czoła, uśmiechnęła się i przestała patrzeć rejentowi w oczy. Ale to wszystko trwało tylko tyle, ile potrzeba na odgarnięcie

włosów z czoła. — Oni, Franek i jego koledzy — odrzekła wymijająco. — Kłamiesz! — krzyknął. — Kłamiesz! — Wybiegł do przedpokoju, narzucił futro na ramiona i pośpieszył do Prokoscha, u którego prześadywał najczęściej stary Pacyna, kum czy powinowaty tkacza, Trzecia chałupa w pierzei domów przy trakcie piotrkowskim. Kładka nad zamazniętym rowem, w którym na wiosnę, latem i jesienią tkacze plu-kali przedzede. Ciemnawa sień, pajaki, zakurzone bec-ki i zaspane pajęczyna ni-cielnicze. Wszedł do izby. Po łowę izby zajmowało ręcz-ne krosno z rusztowaniem pod 'sufit. Tkacz w niebies-kiej westce manczestrowej i stangret w kapocie siedzie-li na wyрку pod piecem. Na widok pana wstali. Pacyna, pokraczny, długoreki, o zu-chwałym spojrzeniu, odpo-wiadał śmiało, nie ukrywał niczego. Obaj panice, pa-nicz Łukasz i panicz Szcze-sny byli w obozie w lasach pod Dobrą, a jakże! Był z nimi także Franek, a juś-ci! Ale jechać tam nie ma po co, pikiety nie dopusz-czają do obozu. Nie tylko rejenta, ale nawet samego cysorza nie dopuszczają. A martwić się też nie ma o co, powstańcy w les'e bezpieczni. — Jak by przysz-li Moskale — opowiadał stangret — to chłopaki myk-głębiej w las, i tyle ich widzieli! Ruscy konno, do

lasu nie wjadą bo drzewa przeszkadzają. Soldaty będą się bali zapuszczać w las, bo zza sosny grozi kulka w łeb. — Tak, naturaln'e, „Kul-ka w łeb“. Tylko czy to był sens, żeby oni? — U-niósł rękę i wywrócił bez-radnie wewnątrz strona do góry. — Czy to był sens, żeby oni? Garstka szaleń-ców przeciwko największej armii w Europie. — Młode to i głupie — zawyrokował Pacyna. — Głupie to one nie są — zaprzeczył tkacz. — Maż Augusty, znaczysz się, mój Schwiegersohn, Syryczyński to powada; „Więc, choćby kto miał zginać, wszystkim jedna śmierć, nie żałując o-soby swojej iśe na stracenie i pokazać światu, czego chcemy“.

— Tak jak pokazali, kie-dy burzyli maszyny u Sja-blera — powiedział Pacyna i lenliwym ruchem głasnał tysięcą czaszke, pokrytą wiotkim siwym włosiem jak przybrudzoną bawełną. — Narobili strat na kilka ty-sięcy rubli. Na Kweli zebra-ło się narodu jak mrowie. Ludzie przyszli z palkami i z dragami. Prowadził weber Ernest Henitze, a chorągiew niósł August Purytz. Ale najbardziej się rzucał Ed-ward Schultz, co uragał Sjajblerowi, że Sjajbler sprze-daje weberom oszukane pacz-ki przędzy, o półtora funta lżejsze niż powinny być. Wiem, co mówię, bo byłem

i widziałem na własne oczy. Nie tak było? — odwoływał się do pamięci tkacza. — Prokosch potwierdził sta-tecznym ruchem głowy. — Zachecony tym gestem Pa-cyna opowiadał dalej. — Jak wyważyli bramę i wybili szyby, nadszedł sam Sja-bler i nuże prosić żeby nie de-molowali zakładu, a on za to beczki z piwem dla na-rodu wytoczy i wódką po-częstuje. — Prokosch skinął poważnie głową z siwym uczesaniem na jeża włosami i podsunął rejentowi stołek. — Wtedy weber Matz zaczął wrzesz-czyć; „Nie przyjmujcie żad-nego poczęstunku, bo was potruje!“ — No, no! — potwierdził Pacyna. — Uszkodzili dwieście osiem warsztatów me-chanicznych i chcieli rozbic maszynę parową, ale jak potłukli ciepłomierz, to para zaczęła syczeć, naród się zląkł, że to sam diabeł sy-czy w kotle, i w nogi! — Czterystu ręcznych tka-czy było wtedy bez roboty, dlatego tak pomstowali na warsztaty mechaniczne, że odbierają ludziom pracę — przypomniał Prokosch. — Jak uciekli z fabryki — opowiadał stangret — to starozakonny Herman Kuch zaczął podburzać naród, że nie dość, że maszyny poro-zbijane, trzeba teraz orły moskiewskie z Ratusza po-zrywać.

The Lord Protector thought for some time and then turned to the stranger with this question:

— Where does the Great Seal lie?

— It is not difficult to answer this question, — answered the boy. Then he turned and gave this command:

— My lord St. John, go to my cabinet in the palace and in the left-hand wall you will find a half-head. Press upon it, and the wall will open a little. The first thing you will see in the opening will be the Great Seal. Bring it here.

Tom Carly looked at Lord St. John and said:

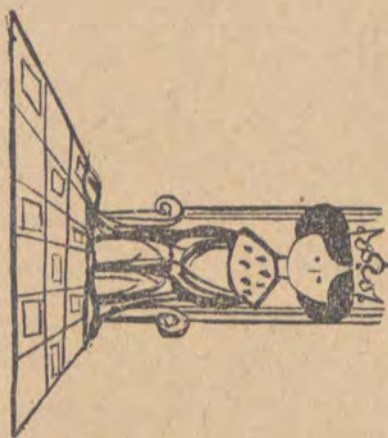
— Why do you not go? Have you not heard the king's command? Go!

Lord St. John bowed and left. In a few minutes he returned and said to Tom:

— Sire, the Seal is not there.

— I do not remember where I put it, — said the boy.

— Oh, my King! — cried Tom in panic. — Think! Try



— 162 —

EINE WETTE

nach Mark Twain

Mr. Stiggins ist von der Brücke in den Fluss gefallen und ertrunken.

Die Freunde stehen am Flussufer und sind sehr traurig. Sie wissen nicht, wie sie von diesem Unglück der Frau Stiggins erzählen sollen. Da meldet sich Bob und sagt:

— Ich werde seine Frau in schonender Weise von dem schrecklichen Unglück benachrichtigen. Es ist eine schwierige Mission. Aber ich kenne das Haus und werde die arme Frau schon vorbereiten.

Bob geht. Er klingelt an der Tür. Frau Stiggins öffnet die Tür. Bob fragt:

— Wohnt hier die Witwe Stiggins?

Die Frau antwortet.

— Nein, eine Witwe Stiggins wohnt hier nicht, aber eine Frau Stiggins. Was wünschen Sie?

— Wollen Sie wissen, Witwe Stiggins? — fragt Bob in „schonender“ Weise.



— 163 —

to remember! We talked. I told you of my sisters. Yes, you remember that. I told you about the games of the boys in Offal Court. Yes, you remember these things too. Listen to me and you will remember everything. Then you put on my cloth and I put on yours. Then we stood before a mirror and we were surprised to see that we were so much alike. I am glad that you remember that...

— Enough! — cried the king. — I remember now. Go, my good St. John! In an arm-piece of the armour that hangs on the wall you will find the Seal.

— Right, my King, right! — cried Tom. Now the throne



of England is your own. Hurry, my Lord St. John, hurry! Lord St. John bowed and left. In a few minutes he returned holding the Great Seal in his hand. A shout went up:

— Long live the true King!

The king turned to Tom and said:

— My boy, how could you remember where I had hidden the Seal? I could not remember it myself.

Tom answered:

— That was very easy, because I used it many times.

— 163 —

BRIDGE

Herr Schwarz spielt Bridge. Er weiss aber nicht was für eine Karte er ausspielen soll. Er dreht sich nach dem hinter ihm stehenden Kiebitz um. Der Kiebitz zeigt mit dem Finger auf seine eigene Brust.

Herr Schwarz ist zufrieden und spielt Coeur. Aber er verliert das Spiel. Jetzt ist Herr Schwarz sehr unzufrieden. Auch sein Spitzgenosse ist aufgeregt.

Herr Schwarz wendet sich an den Kiebitz und sagt:

— Sie sind ein schlechter Kartenspieler! Was habe ich von Ihnen Ratschlägen? Warum haben Sie mit Ihrem Finger auf Ihr Herz gezeigt?

Der Kiebitz antwortet ruhig:

— Was wollen Sie von mir? Ich heisse nicht Herz. Ich heisse doch Caro.

EIFERSUCHT

Ein eifersüchtiger Ehemann kommt plötzlich nach Hause und sucht den Liebhaber seiner Ehefrau. Er öffnet den Kleiderschrank und macht ihn wieder schnell zu. Er sagt dabei:

— Hier ist er nicht!

Dann geht er ins Badezimmer, öffnet die Tür und macht sie wieder schnell zu. Er sagt dabei:

— Hier ist er auch nicht!

Dann öffnet er den Wandschrank im Korridor. Da sieht er einen jungen Herrn mit einem Revolver in der Hand. In demselben Moment macht er die Tür schnell zu und sagt ruhig:

— Hier ist er auch nicht...

Dalszy ciąg
ze str. 13

z tym burzeniem maszyn w sześćdziesiątym pierwszym. — Może i będą budować. — Przyłożył rękę do piersi łapiąc płytki oddech (każdy wdech przesytywał serce bólem) i wyszedł na ulicę. Mroźne powietrze lżej wchodziło do płuc. Chwile stał bez ruchu słysząc jeszcze słamazarowy głos stangreta: „Fikety nie dopuszczają. Samego cysorza...”. Na różowym od zachodzącego słońca niebie tężały czarne kleby dymów z gigantycznych kominów tkalni i przędzali Grohmanna, Geyera, Heintzla, Kindermanna i Scheiblera, kominów, które jak pięć palców potężnej ręki olbrzyma wznosiły się ponad przycupniętymi w dolinie Łódki i Jasieni chałupami osady fabrycznej. Nad jedną z chałup, nad dachem z gontów zaczęła powiewać szmata na tyje. Dokoła szmaty trzepotały zataczające kregi na niebie ulubione ptaszki weberskie. Wywrotne fajfrv i błyszcząca bielą srebrniki. Łapiąc płytki oddech wrócił do domu, zamknął się w pokoju Łukasza i przeżywał raz jeszcze nie kończąca się mekę niepowinności o syna, zagubionego na bezdrożach powstania, wiódl na nowo jałowy spór ojca z niedobrym dzieckiem. Na mahoniowym biurku z krawędziami obrzeżonymi niską galeryjką zabezpieczającą od upadku przedmiotów, na zielonym suknie leżały tomiki poezji Słowackiego i Mickiewicza. To ich rewolucyjna trzeźna, ich szalone idee, wzywające „rozumnym szaleem” do „mierzenia się na zamiary” i rzucania życia w ofierze jak kamienie na szaniec, pokerowały

krokami nierozważnych młodzińców. Łukasza i Szczęsnego. Idee, naród, historia. Snuł buntownicze myśli. Lu dzie nakładali sobie historię jak szleje na ramiona i zaprzęgałi się w służbę narodu, który będzie żył wiecznie, podczas gdy człowiek otrzymał od Boga tylko jedno ziemskie życie. Nazajutrz służąca Natalka zająrzała po południu do pokoju panieca. Rejent, przygnębiony siedział przy oknie i patrzył na syplący za szybą śnieg. Od ucieczki panieca przesiadywał tak, po przyjeździe z kancelarii, całymi godzinami w jego pokoju. Pani robiła na drutach. — Czego Natalka chce? — Druty migotały w rękach pani jak błyskawice. — A kto miał rację? — Na talka zwróciła się z cichym triumfem do pana. — Kto miał rację, jak mówił, że Rosjanie dogonili naszych pod Dobrą. Zerwał się z fotela. — Co ty opowiadasz, dziewczyno? — A właśnie, opowiadasz? Cade miało już o tym gada. Straszna bitwa była pod Dobrą. — Natalka załamała ręce. — Krew się lała od drugiej do piątej. Powiadają, że Rosjanie połowę naszych wystrzelali. — Na litość boska, Natalko, skąd ty o tym wiesz? — Kłębek włóczki spadł pani z kolan i potoczył się po podłodze. — Toż mówię! — Natalka schyliła się po kłębek. — Chłopi przyjechali na targ ze Strykowa koło Dobrego i naopowiadali, że na własne oczy widzieli bitwę. W całym mieście o niczym innym nie mówią. — Kiedy była ta bitwa? — Druty przestały migotać. — Wczoraj, od drugiej do piątej. — Natalka wyciągnęła do pani rękę z kłębkiem.

— Biegnij po stangreta — rozkazał. — Tylko duchem. Położyła włóczkę na kolanach pani i potrząsnęła głową. — Nie ma Pacyny. Wyjechał furmanką do Dobrego po swojego Franka. — Boże! — pobiegł do przedpokoju po futro. Może w tej chwili właśnie Łukasz wzywał pomocy i rzucał się w gorące na łóżku albo krwawił przez złe założony bandaż? Sien. Czarne pajaki. Zgrzyt liwy łoskot krosna za drzwiami z lewej. Pchnął te drzwi. Prokosch przy warsztacie uczył Augustę tkania. — Tak mówi weber: „Na bulka” — pociągnął za cugę. — „Na kawa” — pociągnął drugi raz. — „Na szcie” — pociągnął po raz trzeci. — „I już nie ma nic”. Bo na nic weberowi nie starcza, ani na bulkę, ani na kawę, ani na watek. Augusta i jakaś dziewczyna okutana chustką zaślinały się głupawo i hałasliwie. — Pacyny nie ma? — zapytał. — Pojechał furmanką po Franka. Mówił, że jak się uda, to i panieców przywiezie — odrzekł tkacz. — Ciągnij cugę i leż do taktu — pouczał córkę. — Na bulka, na kawa, na szcie i nie ma nic. — Dawno wyjechał? Augusta poczochnała frasośliwie zaśmiecone rude włosy, upstrzone wicherkami pierza. — Na bulka, na kawa, na szcie — powtarzała cugując powoli i dobijając watek bidlem. — Dawno wyjechał? — podniósł głos przekrzykując łoskot krosna. — O świecie Nie trzeba się denerwować. Herr Notar — gadał Prokosch gardłowym głosem. — U Niemców jest Sprichwort: Keine Nachricht gute Nachricht.

— Na bulka, na kawa, na szcie — nucila Augusta w loskocie trzeszczącego krosna. Usiadł na stołku przy oknie. Mróz posrebrzył szyby warstwa szronu skryształizowanego w fantastycznych deseniach. Przez nieuszczelnione szpary wiało lodowatym chłodem. — Pójdę do pracy na tkalni w Białej Fabryce. — Au

wśród biednych ludzi zaczął się głód i nędza, poszła do Białej Fabryki nad stawem, gdzie z początku wycierała kurz z maszyn i zamiałała podłogę w tkalni. Majster Ulschleger przewis kiem Rotbard od rudej brody, zapędzał ją nieraz w zastępstwie nieobecnej tka cza do krosna. Margareta nauczyła się tkania od mat-

dy wdzieral się do gardła, drażnił krtań. Od wyziewu olejny i swadu kopających lamp naftowych wierciło w nosie. Gorąc był straszny, ale wystarczyło żeby ktoś zostawił otwarte drzwi, do sieni, a przeciągi hulały jak wiatr w polu i robiło się zimno, że ciarki mrowiły się na plecach. A już najgorszy był huk warsztatów do którego nie mogła przywyknąć i chamska tyrania majstra Rotbarda, który wkładał dziewczuchom łapę pod sukienki i który przekrzykiwał swym tubalnym głosem huk krosien: „Daję uwaga trocha! Ta maszyna nieoprze! Dawaj tu czystego szmata!” Ten nasrżony German wrzeszczał z niemiecką po polsku i wszyscy dżell przed jego głosem: „Isć na ulicę rozmawiać, nie tutaj! Czy spała w ustępie, dumme Dirne?” Od jednego zmruczenia kosmatych jak chrabaszcze brwi Rudobrodęgo (opowiadała Margareta) można się było zna leżać za bramą, bez pracy. — Na bulka, na kawa, na szcie — nucila monotonnie Augusta cugując i dobijając bidlem watek. Wstał. — Idę. — Przyłożył rękę do serca. — Dajcie znać, jak tylko Pacyna wróci. — Wyszedł. Łoskot krosna. Zgrzytliwe trzaski warsztatu. Tamci w izbie tłukł bidlem, jak by nie było powstania, jak by nie było rozlewu krwi. Przez huk krosna przebiły się suche strzały gwintowanych karabinów moskiewskich. Na bulka, na kawa, na szcie, i już nie ma nic.



gusta głośno układała projekty na przyszłość. — Na bulka, na kawa... — Do Geyera? Nie pójdziesz do Geyera! — Prokosch sprzeciwił się kategorycznie. — U Geyera na tkalni jest ten Halunke, majster Ulschleger — tłumaczył rejentowi. — Ulschleger wkłada dziewczuchom łapę pod spódnice. Powiedz, Margareta, ist es nicht schwer bei Geyer zu arbeiten? — Sehr schwer! — Dziewczyna obciągnęła chustkę na głowie i zaczęła szwargotać po niemiecku. Kiedy

ki na ręcznych domowych krosnach. Ale na wysokim samotkackim warsztacie Robertsa z ogromną koroną było jej niezręcznie i niewygodnie pracować. Musiała wspinać się i stawać na palcach, żeby dosięgnąć nicielnicy. I nie brak słał przy czyną, że zalewała się potem, a oczy zachodziły jej mgłą od spóźnionego zzoła i mokrych brwi. Na sali było duszno i parno. Wysokie za dymione okna z zarośniętymi pajęczyną i kurzem szybami w żelaznych kwadratowych ramach tamowały dostęp powietrza. Pył z prze



FACECJA LUDZKA

Bohaterem noweli Maupassanta pt. „Spadek” jest pieniądz. On to sprawia, że ludzie stają się własnymi karykaturami, że nie tylko upadają nisko, ale turlają się po dnie ogromnego i brudnego bajora.

Bohaterem „Spadku” jest system, w którym ludzie „albo kupują, albo się sprzedają”, jak powiedział Balzac. Ale Maupassant interesuje się dziejami ofiar tego systemu. Ludźmi, którzy nie mogli oprzeć się jego po-

kusom. Oto pan Lesable — uporczywie wspinający się po drabinie awansów w Ministerstwie Marynarki, który dla pieniędzy wypożycza żonę przystojnemu gogusiowi. Oto papa Cachelin, zaradca głowa rodziny, rajfur

własnej córki. Wreszcie sprytna Koralia, osiagająca swój wymarzony powódz i wysoką rangę towarzyską dzięki powiciu mężowi dziecka pana Mazę.

Jerzy Antczak zrobił ze „Spadku” prawdziwe cacuszko. Zrezygnowawszy z przegadanych, drobiazgowych w opisie epizodów noweli — nie uronił nic, co u Maupassanta cenne. Konsekwentnie prowadził główny wątek konfliktowy, bez dygresji, jaskrawo, plastycznie. Jego „Spadek” przypominał Mroźka. Groteska, granicząca chwilami z absurdem, brutalna kpina zmieszana z lekkością francuskiej frazy. Bardzo zgrabny spektakl.

Przez cały czas przedstawienia „czuło” się obecność reżysera. Pomyślał o każdym, najmniejszym drobiazgu. Było tempo, humor, fincja i drwina.

Aktorzy świetnie podchwycili nastrój przedstawienia — Lesable Czesława Przybyły był w miarę przebiegły i równie ciemajdowaty. Od pierwszego jego ukazania się na ekranie wiemy, że to ludzkie pokurcze umię pisać po trupach do upragnionego celu. I że cel ten osiągnie.

Jego żona była Jadwiga Siennicka, której genre przypomina nieco Barbarę Krafftównę. Jako Kora była wcale nieglupia, chytra kobietką — upartą i bezwzględna. Siennicka szczerbiotała, krygowała się, spazmowała z wdziękiem nieodpartym, z dużym poczuciem humoru, bez przesady. Bez przesady, ale równie dowcipny portretik naszkicował Janusz Kłosiński jako pan Cachelin. Rubaszny i strachliwy, beczelny i dobrze ułożony Cachelin znalazł w tym aktorze wspaniałego odtwórcę.

Słowa dużego uznania należą się również Kazimierzowi Woźniakowi. Jego Maze był typowym gogu-

tanym podrywaczem pięknotek. Zdał się pachnieć tanimi perfumami. Największy urok miał w całym biurze, w całym domu, w całym mieście. Był Woźniak. Wszy- bez wyjątku pierwszą rolę aktorzy i bohaterowie z pozycji zaprezentowali. Wspaniała, leciutka, kora, robótka. Wszystkiemu nie dość paru zdawało się komplementów.

Wspaniony w dowcipie, w ilustracji, w muzyce spektaklu. Antczak był naprawdę mądrym prezentem publicznym.

MALINA KIJOWSKA

Teatrzyjny Teatr „Spadek” Gr. Maupassant. Reż. i Scen. — Jerzy Antczak. Obsada: Jerzy Antczak — Lesable, Janusz Kłosiński — Cachelin, Rubaszny i strachliwy, beczelny i dobrze ułożony Cachelin znalazł w tym aktorze wspaniałego odtwórcę. Słowa dużego uznania należą się również Kazimierzowi Woźniakowi. Jego Maze był typowym gogu-

EKSPERYMENT ZAWIÓDŁ!

Świeta za pasem. Nastrój gorączkowy ogarnął wszystkich, co łatwo można zauważyć po ostatnich audycjach telewizyjnych, w takim pośpiechu są odwalane (przepraszam — realizowane). A dziennik telewizyjny podał wiadomość, także w związku ze świętami, że w tym roku karpie kłopot sprawiają, więc



w ich zastępstwie będziemy musieli zadowolić się leszczem. Cytuję dziennik, gdyż jest to wielka młoda szefka: co mi tu, panie Kowalski, zamiast felietonu telewizyjnego, rozprawę o karpach piszesz? Niezupenie o karpach.

Przypominam właśnie sobie, że nie tak dawno, bo we wrześniu, w ostatniej, jaka dołądziła się dobyta (dlaczego?) „Rozmowa o programie”, telewizja łódzka obiecała naszym i ogólnopolskim telewizjom nową, ambitną próbę stworzenia eksperymentalnego programu rozrywkowego, który miał bazować tylko i wyłącznie na aktorach łódzkich. Ale wiadomo, że od momentu dawanania obietnicy do chwili jej spełnienia zawsze taktyczniej przeczekać taki okres czasu, żeby wszyscy zdążyli zapomnieć, czego ta obietnica dotyczyła. Wtedy unika się nieporozumień.

Tak brzmiała moja pierwsza wersja znalezienia przyczyny ukazania się w programie łódzkim pozycji pod nazwą „Music-hall”, czyli: rozrywkowego programu eksperymentalnego. A ponieważ odbył się on w przedświątecznej gorączce, więc to artystyczne wydarzenie telewizyjne skojarzyło się z kar-

pami, w zastępstwie których mamy dostać leszczę...

„Music-hall”, prowadzony uroczyście (obiektywnie przyznaję — kulturalnie i powściągliwie) wzbudził poważne obawy, gdyż po pierwsze: był programem „eksperymentalnym”, po drugie: był pierwszym z tego cyklu (i po trzecie: został sprowadzony aż z Węgier).

Bo co to znaczy: eksperymentalny? Pojęcie jednoznaczne niby, ale pytali się mnie znajomi — i ja, kogoś mogłem, to się pytałem — powiedzcie mi, na czym się w „Music-hallu” eksperymentowało? Poziom tak żalosny, że przeded do placu, niż do śmiechu było. Kilka piosenek, słabych zresztą, jeden pseudo-taniec (ona w „bikini”, bo: — Music-hall! — on w dresie z golfem — nowocześnie??), jakiś pan, który

A, chrońcie nas wszystkie siły niebieskie, wszyscy patroni telewizyjni od podobnego cyklu eksperymentów.

Wreszcie zastrzeżenie trzecie — myślę, że chała na takim poziomie, to mogliśmy spokojnie zafundować sobie we własnym zakresie, zapraszając na przykład do studia, któryś z licznie działających na prowincji zespołów naszej znakomitej Estrady. I taniej byłoby na pewno... (A narzekaliśmy na Kydryńskie, że importuje sławy piosenki z innych miast... No i proszę. Zamiast obłecznego programu eksperymentalnego z własnego gniazda, otrzymaliśmy leszczę souté, lecz z zagranicy...)

KOWALSKI

P.S. Byłoby dobrze, gdyby moi czytelnicy zechcieli przesłać do nas swoje uwagi i spostrzeżenia z programu „Music-hall”. Ciekawskie wypowiedzi opublikujemy.

P.S. I jeszcze jedno: ponieważ jesteśmy już przy karpach i leszczu świątecznym, nie od rzeczy powiedziec będzie, czego możemy spodziewać się od telewizji łódzkiej na najbliższy okres. ŁOT obiecuje nam na święta: „Muzykę łatwą, lekką i przyjemną” — (podobno super-gigant!) oraz specjalny świąteczny przekładaniec w programie lokalnym. Niewiele tego, lecz czekamy z niecierpliwością.



podrzucił i łapał płeckę, jakichś dwóch panów, którzy wyglądali się „pantomimicznie” — naprawdę, szkoda marnować słów i papieru na jakąkolwiek próbę recenzji. „Eksperymentalny” program nie nadaje się do takiej. Może by więc oszczędzono na przyszłość telewizjom podobnych słownych nieporozumień i zobowiązań? — Słowo „eksperyment” zobowiązuje, jeżeli nawet nie do określonego poziomu artystycznego, to do próby pokazania poważniejszych ambicji. A „Music-hall” ani z przymrużeniem oka, ani na serio potraktować się nie dał.

Punkt drugi wyjaśnienia nie wymaga. „Pierwszy z cyklu”

Było obojętne się tym razem bez wątpliwych eksperymentów.



Zdjęcie, owszem, efektowne. Szkoda, że „Muzie — hall” wypadł mniej pomyślnie.

Fot. Z. Krajewski

Sprawy TV szkolnej

CO BYŁO DO A CO ZŁ

Nie chcę uogólniać. Zrobił to przede mną na tych łamach znawcy pedagogiki. Zajmę się konkretną telelekcją. Postaram się skreslić kilka uwag na temat ostatnio oglądanej audycji.

Była to telelekcja z botaniki dla klasy piątej pt. „Zielone laboratorium”. Program rozpoczął się zgodnie z regularnymi dydaktyki. Prowadząca audycję Joanna Markowska przedstawiła uczniom cel lekcji. Potem krótką wstawka filmowa, mająca za zadanie pokazać, że Ziemia jest „planetą zieloną”. Widać więc było lasy i łąki, ale... w kolorze szarym. No cóż, na telewizję barwną musimy jeszcze długo poczekać. Następnie rozpoczęła się zasadnicza część lekcji — doświadczenia. Pod szczególną zamkniętą kłosem znajdowały się białe myszki i trzykrotka. Tu dzieci wyciągają pierwszy wniosek — gdyby nie było tam roślinki, myszki udułowałyby się. Z kolei Krystyna Lyskanowska prezentuje następne doświadczenie. Pokazano roślinkę wodną moczarkę, próbówki, żarzące drewnienko. Roślinę ilość wniosków — roślina, która nie była podana działaniu światła nie może normalnie funkcjonować, nie może również przebywać w wodzie przegotowanej i musi mieć dwutlenek węgla. Jeszcze tylko plansza, wstawka filmowa, podsumowanie zdobytych wiadomości — liść to mała fabryka, i koniec. Tak wyglądała audycja „Zielone laboratorium”, naturalnie w maksymalnym skrócie.

Zacznę od minusów. Realizatorzy tego programu najwyraźniej zapomnieli o tym,

że nasza TV nie ma możliwości oddania barw naturalnych. Wspomniałem już o niezbyt udanym wycinku filmowym, ale nie on był najważniejszy w tej telelekcji. Gorzej, że swą wymowę zatracili z tego powodu niektóre bardzo ważne doświadczenia np. pokazano liść zabarwiony na granatowo, który odbarwiono na zielono, potem był żółty (oczywiście dowiedzialem się o tym z ust pani Lyskanowskiej). To potwierdza bardzo ważny postulat,

że należy pamiętać o tym, by telelekcja była przystosowana do możliwości telewizji. Jedno z doświadczeń polegało na tym, że żarzące się drewnienko zapali się płomieniem po włożeniu do próbówki. Prowadząca doświadczenie zapala drewnienko, dmucha i drewnienko się żarzy, teraz szybko przykłada jeszcze raz do palnika i z gotowym płomieniem wkłada do próbówki. Takie drobne „oszustwa” kamera pokazuje bardzo dokładnie, a dzieci są bardzo spostrzegawcze i tylko czekają na podobne potknięcia. Toteż należy tego za wszelką cenę unikać. Inne zastrzeżenia można mieć do reżyserii audycji. Pokazując wykonywane doświadczenie używano przede wszystkim planu amerykańskiego. Stąd dokładnie widać było ład laboratoryjny, a nie samo doświadczenie, a chyba nie



ODGŁOSY

tygodnia

GRAND PRIX

Staropolskie porzekadło „cudze chwalecie, swego nie znacie”, znajduje ostatnio coraz częściej uzasadnienie w wyrokach wydawanych przez władze naszej kinematografii, jurorów, recenzentów filmowych.

Najpierw nagrodę w Cannes otrzymał film Polańskiego „Nóż w wodzie”, starannie „zjechany” przez całą prasę naszą. Następna bomba sezonu stanowiła nagroda UNESCO dla filmu Jarosława Brzozowskiego o wyprawie na Spitsbergen. Kiedy do wytwórni przyszło zapytanie, czy posiadają film odpowiadający kryteriom wymagającym przez UNESCO — okazało się, że filmu takiego nie ma... Dopiero po pewnym czasie zdecydowano „je” ten film wysłać. Ostatnio zaś Grand Prix w Tours dostały „Ssaki”, reżyserowane przez Polańskiego.

Co to za film „Ssaki”? — spytaście.

I słusznie. Albowiem oglądaliśmy go dotychczas tylko na ekranach telewizorów. Studio „Semafor” odrzuciło scenariusz i film został zrealizowany za prywatne fundusze(!) Notabene, kosztował kilkanaście razy mniej niż „normalne” filmy krótkometrażowe, kręcone w ramach wytwórni.

No, a teraz dostał pierwszą nagrodę na jednym z najważniejszych międzynarodowych festiwali filmów krótkometrażowych. „Semafor” zakupił „Ssaki” i w ten skomplikowany sposób obejrzymy może Grand Prix z Tours.

Nie ulega bowiem wątpliwości, że nie tak nie przydaje filmowi blasku w oczach władz, jak nagrody międzynarodowe...

ŚWIĘTA BEZBOMBKOWE

W chwili, kiedy ukazuje się nasz numer świąteczny, zabiegł wokół kupowania choinek i ozdób choinkowych osiągają właśnie szczyt.

Pisząc tę wiadomość, nie bardzo możemy przewidzieć, jaka będzie sytuacja w o-wym „szczycie”, chociaż wiele wskazuje, że nie najlepsza.

Na ogół przed każdymi świętami sklepy nasze miały olbrzymi wybór bombek choinkowych. Sprzedawano ich co roku około 6 tysięcy tuzinów.

Obecnie handel ma w zapasie niecałe 2 tysiące tuzinów, czwarta część z tego zapasu, to rezerwy ubiegłoroczne.

Trudno winić handlowców, trudno też winić producentów. Wszystkie wytwórnie (a liczba ich idzie w dziesiątki), które dostarczały bombki dla Łodzi, pracują obecnie na eksport. Za granicą popyt na polskie świecidełka jest ogromny. Stany Zjednoczone na przykład, przyznały naszym zabawkom cło największego uprzywilejowania.

W przededniu świąt przypadają nam zatem dwa nowe obowiązki patriotyczne. Po pierwsze — musimy zrozumieć, patrząc na nasze nie ubrane drzewko, jak daleko zawędrowało to, co miało na nim wisieć i jakich korzyści może przysporzyć. Po drugie — musimy wytłumaczyć dzieciom, że tłuczenie bombek dla zabawy, to już nie tylko niegrzeczność, to także marnotrawstwo bogactw narodowych.

Wypada przypuszczać, że na przyszły rok producenci zaopatrzą zarówno rynki zagraniczne, jak i krajowy.

Natomiast, jak zdołaliśmy się zorientować, nie ma kłopotu z innymi ozdobami. Czekają na nas w sklepach około 65 tys. porcji lamety z cynfolii i celofanu, dostateczna ilość zimnych ogniów.

Z uporem godnym lepszej sprawy wprowadza się na rynek choinki plastikowe po 160 złotych. Kalkulacja ekonomiczna na pewno w tym jest, takie „drzewko” może służyć kilkanaście lat. Nie ma tylko owego specyficznego nastroju, który daje prawdziwa choinka. A ersatzów na nastroje jeszcze jakoś nie wymyślono.

Dopiero porównując z tym plastikowym cudem, daje się stwierdzić, jak uroczą rzeczą jest prawdziwa choinka, obojętne nawet, czy z bombkami, czy bez nich.



ZAMIAST PIĘKNYCH DEKORACJI... WŁASNA WILCZA NA ŁADZIE...
...to posłuchajcie...

Fot.: W. Stachlewski

szony Zolnierkiewicz ucieka



Kłuba nie ma głowy...

biaty film
zblizony
prymityw-
krótkich
te docel-
owi jego
podporzą-
dowej idei.
retiekstem
tawowy tej
chcę ca-
tego uszy-
osob spr-
zaspoka-
ynosi ko-
Za cenę
n. najroz-
wykorzy-
i możli-
naszych
o naszego
i jest po-
znanie, że
znika cel
tym wy-
ndu” są
najmniej
pozosta-
a jest



Ostatnie ujęcie...

Fot.: A. Kosiński

PRZEPowiednia, która się nie sprawdziła

W secesyjnym pałacyku nale-
żącym do Ludwika Grohmana
(ul. Kilińskiego róg Milionowej)
w noc sylwestrową 1899 r. od-
bywał się bal na powitanie no-
wego XX wieku i nowego 1900
roku.

Podczas balu stary Ludwik
Grohman zwracając się do Ka-
rola Wilhelma Scheiblera po-
wiedział: — Powiedz mi, dla ko-
go właściwie gromadzimy nasze
fortuny? Czy masz pewność, że
nasze wnuki odziedziczą je?
Stary Scheibler miał na to
odpowiedzieć: — Wznoszę toast
za — pomysłowość nowego wieku
i nowego roku. Jestem przeko-
nany, że kapitał to twierdza,
która jeszcze co najmniej sto lat
się utrzyma. (Jeśli chodzi o swo-
ją twierdzę to omylił się o 53
lat).

SĘDZIA... RECENZENTEM

Po I wojnie światowej,
przewodzącym wydziału
kryminalnego łódzkiego Sądu
Okręgowego był Marian Cy-
narski, późniejszy prezydent
miasta. Sędzia Cynarski pisy-
wał pod pseudonimem Kozodój
recenzje teatralne w wy-
chodzącym wówczas dzienni-



do druku podał
St. Cynarski

ku łódzkiemu „Straż Polska”. I
nie byłoby w tym nic nad-
zwyczajnego, bo wiemy, że —
krakowski recenzent teatralny
Prokiesz był sędzią, gdyby...
Któregoś wieczoru
Teatr Polski w Łodzi wysta-
wił „Diablić” Schönherrera. Ob-
sady „Diablić” stanowili:
znakomita aktorka Helena
Arkawin, jej partnerem był
Jerzy Waskowski, zaś młode-
go celnika grał Józef Pilarski.
Sprawozdawca Marian Cynar-
ski nie był zachwycony ani
sztuką, ani też grą biorących
w niej udział. Nazajutrz uka-
zała się recenzja, w której
autor, dając ocenę gry pisał
w ten sposób:

„Pani Helenie Arkawin da-
ję tydzień domowego aresztu
za balaństwo jednocześnie
dwóch mężczyzn. Jerzemu Wos-
kowskiemu — za nieopanowa-
ną żądzą i sprośność — daję co
najmniej miesiąc więzienia z
zawieszeniem na dwa lata,
zaś Pilarskiemu tylko ze
względu na niepełnoletność —
dom poprawy w Studzieniu”.

Po tej słynnej recenzji akto-
rzy ogłosili protest, zaś spra-
wozdawcę Kozodój redakcja
„Straży Polskiej” zawiesiła w
czynnościach recenzyjnych na
pół roku...

„PACYFIK”

Poniekiedy bywalec zowie-
ten lokal „Pacyfikiem”. Wszy-
scy taksówkarze w Łodzi zna-
ją hasło: „Konsulski 33”. Ci
gorsza, zna je również mili-
cja.

Nie przysparza naszymu
miastu chwaly Klub Zwią-
ków i Stowarzyszeń Twor-
czych. Na palcach jednej ręki
policzyc można organizowane
przez imprezy o charakte-
rze artystycznym, bądź kultu-
rowym. Odczyty, dysku-
sje, występy, próby stwo-
żenia „kabaretu aktorskiego” —
wszystko to pozostało w ste-
rze niezrealizowanych proje-
tów. Realna jest natomiast
knaipa, wódka, awantury.

Rzecz zresztą w tym, że
łódzkiego SPATIF-u ma, prak-
tycznie biorąc, występ każdy
Najgorszy, najbardziej zapia-
czory chuligan i łobuz o pew-
nej godzinie nocy wola: do
SPATIF-u!!! Dla członków
stowarzyszeń twórczych bar-
dzo często nie ma w ogóle
miejsca. Tymczasem, w każ-
dym mieście, w którym ist-
nieje podobne kluby i restau-
racje klubowe, rzecz pomyśla-
na w taki sposób: aktorzy
filmowi, plastycy z tytuł
swojej pracy nie mają czasu
na prowadzenie „normalnego”
domu. Trzeba im ułatwić spo-
żywanie posiłków w możliwie
szybki sposób, możliwie tanio
i smacznie.

W Łodzi ta idea została
gruntownie wypaczona. Z go-
dzinach obładowanych aktor-
musk i plastyk nie może się
w ogóle „dopełnić” do stoli-
ka, wieczorem za zjedzenie
kolacji musi opłacać „hara-
cz” w wysokości 5 złotych, ponie-
waż w klubie gra orkiestra
Po co wobec tego utrzymy-
wać jeszcze jedną, zakonspi-
rowaną knajpę? Po co ula-
wiać, że „ulawia” ona życie
członkom stowarzyszeń twó-
rczych?

Redaguje Zespół * Wydawca: „Wydawnictwo Prasowe „Pra-
sa Łódzka” * Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 98. Tel.
244-79 * Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4.—, kwartalnie
zł 12.— * Redakcja nie zamawiających reprintsów nie zwraca
* Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, li-
stosłone oraz PUPiK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Odgłosy”
Druk: RSW „Prasa” — Łódź, Zwirid 17
Zam. 626 X11, 62. A-4

10840 - A

